MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XII. Nr. 24. WARSZAWA, 29 MAJA 1932 R. CENA NUMERU 80 GR.

KAPITAŁ SWÓJ CZY OBCY?

JEDNEM z podstawowych niedomagań naszego gospodarstwa narodowego jest brak kapitału. Najlepszym dowodem tego jest wysoka stopa procentowa, panująca w Polsce. Jest ona oczywiście również wynikiem zaniku zaufania, ale przedewszystkiem pochodzi z braku kapitału.

Niedostateczna ilość kapitału w naszem gospodarstwie narodowem wywołana jest rozlicznemi względami. Byliśmy w ostatniej epoce historycznej zapóźnieni w rozwoju gospodarczym naskutek niewoli, a przedtem naskutek braku wszelkiej celowej polityki w okresie, poprzedzającem rozbiory. Wojna światowa dokonała, jak wiadomo, wielkiego zniszczenia i wpłynęła na dalsze zmniejszenie ilości kapitałów. Wreszcie polityka państwa polskiego, będąca stale pod wpływem mniej lub więcej wyraźnym haseł socjalistycznych, nie sprzyjała tworzeniu się kapitałów.

W tych warunkach jednem z najpoważniejszych zadań naszej polityki gospodarczej jest powiększenie ilości kapitału, bądź przez tworzenie własnych kapitałów, bądź przez ściągnięcie do kraju kapitałów z zagranicy.

Tworzenie się kapitałów rodzimych możliwe jest bądź przez powiększenie dochodu narodowego, bądź przez powiększenie części dochodu, któryby nie został wydany, lecz zaoszczędzony, a więc przez wzmożenie napięcia oszczędności.

Do powiększenia dochodu narodowego, którego rozmiar, jeśli pominąć dochody, płynące z zagranicy, zależny jest od rozmiarów produkcji krajowej, może doprowadzić tylko polityka gospodarcza, zmierzająca do wzmożenia sił produktywnych społeczeństwa, a więc powiększenia produkcji i dóbr. Z drugiej strony tylko polityka państwowa, zdolna obudzić i pogłębiać zaufanie we własnem społeczeństwie, może wywołać wzmożenie oszczędności. Polityka państwowa odpowiadać temu warunkowi będzie tylko wtedy, o ile będzie miała jasno określone cele i program oraz będzie je stanowczo i konsekwentnie wprowadzać w życie. Jednocześnie może ona ograniczać swobodę jednostki w dziedzinie gospodarczej tylko w wypadkach konieczności, dyktowanych interesem narodowym, a społeczeństwo powinno sobie zdawać sprawę, jak dalece te ograniczenia mogą w okresie najbliższym sięgać. Wreszcie obciążenie na rzecz związków publiczno-prawnych nie może być nadmierne i nie powinno zabierać na rzecz tych związków takiej części dochodu obywateli, by uzasadniało to przekonanie, że korzystniejszem jest dla nich spożywanie dochodu, niż przetwarzanie go i oszczędzanie.

Ale poza ogólną polityką gospodarczą można popierać powstawanie oszczędności przez zarządzenie specjalne, a mianowicie przed odpowiednią konstrukcję systemu podatkowego oraz przez należytą organizację kredytu.

Uprzywilejowanie oszczędności może nastąpić przedewszystkiem w podatku dochodowym przez częściowe lub całkowite zwolnienie od podatku zaoszczędzonej części dochodu.

Jeśli zaś chodzi o organizację kredytu, to winna ona z jednej strony ułatwiać i propagować oszczędności, z drugiej zaś strony gwarantować bezwzględne bezpieczeństwo oszczędności już dokonanych. Obok tego jednak zadaniem odpowiedniej organizacji kredytu będzie odpowiednie spożytkowanie oszczędności przez skierowanie ich do tych działów gospodarki narodowej, gdzie to będzie z punktu widzenia gospodarki społecznej najodpowiedniejsze. Jest to oczywiście sprawa szczególnie delikatna, jednak rozumiejąca swe obowiązki instytucja kredytowa potrafi je należycie wykonać, uwzględniając oczywiście jednocześnie bezpieczeństwo udzielanych przez siebie kredytów oraz należyte ich gwarantowanie.

Polityka, której świadkami jesteśmy dziś w Polsce, niestety, zupełnie nie odpowiada powyższym warunkom. Cechą charakterystyczną tej polityki jest to, że trudno sobie zdać sprawę, jakim właściwie celom ona służy. Tak więc np. obserwować możemy i szumne gesty i groźby w stosunku do Niemców i, jednocześnie, przyznawanie im przywilejów w traktacie likwidacyjnym, manifestacje na

rzecz „ukraińców" następują bezpośrednio po „pacyfikacji" Wschodniej Małopolski, szumne hasło zniżki cen jakoś się godzi z podnoszeniem cen monopolowych i podnoszeniem stawek podatkowych oraz popieraniem karteli, które są źródłem wysokich cen. Jeśli się jednak bliżej przyjrzeć polityce gospodarczej, która tu nas przedewszystkiem obchodzi, to poza pozornym chaosem sprzeczności dojrzeć można zupełnie wyraźne dążenie do całkowitego uzależnienia od państwa życia gospodarczego. Polityka ta daje już rezultaty: dziś już znaczna część naszego gospodarstwa narodowego jest zależna od państwa, jako głównego rozdawcy kredytów, jako jednego z najważniejszych odbiorców, jako wreszcie tego czynnika, który w dość dowolny sposób wymierza podatki. Brak wyraźnego programu, połączony z ciągłemi wahaniami, podkopuje powszechne zaufanie, dążenia zaś etatystyczne, przejawiające się w rozroście bezpośredniej działalności państwa, połączone z nadmiernem obciążeniem podatkowem i dowolnością władz administracyjnych zabijają zdolność produkcyjną społeczeństwa a tem samem uniemożliwiają tworzenie się kapitału rodzimego.

Natomiast cechą charakterystyczną dzisiejszej polityki gospodarczej są starania, rzadko zresztą uwieńczone powodzeniem, o przyciągnięcie kapitałów zagranicznych, choćby na ciężkich warunkach. Dopływ kapitałów zagranicznych, jest z natury rzeczy uzależnieniem gospodarstwa narodowego od obcych, specjalnie zaś niebezpieczny jest w Polsce, gdzie wpływy obcego kapitału i tak są wielkie. Zakres tych wpływów nie da się oczwiście całkowicie określić, nawet jednak dane dostępne dla ogółu,[1]) które niechybnie są pomyślniejsze od rzeczywistości, przedstawiają się niezwykle groźnie. Tak więc w dniu 31 grudnia 1929 r. $^{1}/_{3}$ kapitałów polskich spółek akcyjnych jest w rękach zagranicznych, a 54.8% wszystkich spółek akcyjnych podlega wpływom kapitałów zagranicznych, zaś spółki, w których kapitał zagraniczny rozporządza większością, reprezentują 36% ogółu kapitałów zakładowych.

Jeśli dodać do tego, że na terenie Polski działają ponadto przedsiębiorstwa zagraniczne, rozporządzające kapitałem w sumie 656.1 miljonów złotych, to możemy nabrać wyobrażenia o wpływach kapitału zagranicznego u nas. Najsilniejsze wpływy kapitały obce posiadają w następujących gałęziach gospodarstwa narodowego:

GRUPY	Stosunek w % %	
	Kapitałów spółek o kapitale zagranicznym do kapitałów wszystkich spółek akcyjnych	Kapitału zagranicznego do kapitału wszystkich spółek akcyjnych
Górnictwo naftowe .	93.0	76.5
Górnictwo inne, . .	58.4	38.8
Hutnictwo.	74.9	65.4
Przem. chemiczny . .	62.8	40.6
„ papierowy . .	64.4	28.0
Gaz, woda i elektr. .	88.5	77.3

[1]) Patrz nr. 5 „Przeglądu gospodarczego" z 1931 r. artykuł Mieczysława Smereka „Kapitały zagraniczne w Polsce".

Specjalnie niebezpieczne są wpływy kapitałów zagranicznych w instytucjach kredytowych. Przez opanowanie tych instytucyj kapitał zagraniczny rozszerza swe wpływy poniekąd w sposób niewidoczny na innego rodzaju przedsiębiorstwa, które w dalszym ciągu powszechnie uważane są za polskie. Według danych, zawartych w Nr. 42 poważnego niemieckiego czasopisma gospodarczego „*Der Deutsche Volkswirt*" (Nr. 42) ogromna większość naszych banków prywatnych jest opanowana przez kapitał zagraniczny. Do banków, których kapitał zakładowy jest w rękach krajowych, wspomniane źródło zalicza jedynie Bank Spółek Zarobkowych, Bank Cukrownictwa, Bank Zachodni i Wileński Bank Ziemski, pomijając w tem wyliczeniu niewątpliwie Bank Towarzystw Spółdzielczych. Z tych jednak banków dwa, mianowicie Bank Cukrownictwa i Bank Zachodni są w wielkim stopniu uzależnione od zagranicy, korzystając z bardzo znacznych zagranicznych kredytów bankowych. Wszystkie inne banki, z bankiem Handlowym, Dyskontowym i Związkowym na czele, są to ekspozytury kapitałów zagranicznych, wśród których największy wpływ doniedawna jeszcze posiadały kapitały austrjackie.

Pomimo że wpływy kapitałów obcych w naszem gospodarstwie narodowem są tak znaczne, a wobec tego dalszy dopływ kapitałów zagranicznych przedstawia duże niebezpieczeństwo, w pewnych wypadkach może być jednak pożyteczne ściągnięcie kapitałów obcych do Polski.

Te wypadki zachodzić będą tylko wtedy, gdy będzie chodziło o stworzenie lub wzmocnienie gałęzi życia gospodarczego, których stworzenie lub rozwój są konieczne z punktu widzenia ogólnej polityki państwowej, a nie można czekać na powstanie kapitałów rodzimych. Jedynie miarodajny będzie tu interes narodowy, nie zaś indywidualny. Zyskowność sprowadzonego z zagranicy kapitału ma tylko o tyle znaczenie, że zaciąganie kredytów zagranicznych na inwestycje, narazie nierentujące się, winno być dokonywane z dużą ostrożnością.

Możliwe są dwie formy przypływu kapitału obcego do Polski. Albo kapitalista obcy w charakterze właściciela tworzy nowe przedsiębiorstwo lub nabywa stare. Albo też kapitalista obcy udziela pożyczki przedsiębiorcy polskiemu, który otrzymany kapitał używa w swojem przedsiębiorstwie.

Na pierwszy rzut oka zdawaćby się mogło, że forma pożyczki jest zawsze dla nas korzystniejsza od przybycia do nas przedsiębiorcy zagranicznego, gdyż w tym drugim wypadku tracimy na korzyść zagranicy nie tylko oprocentowanie kapitału, ale i zysk przedsiębiorcy. W rzeczywistości jednak wyprowadzenie takiej ogólnej zasady byłoby błędem. Wtedy bowiem, gdy chodzi o kapitalistę, przybywającego do kraju, zamieszkującego tu na stałe i zakładającego przedsiębiorstwo, którego jest indywidualnym właścicielem, a nie akcjonarjuszem, to należy to uważać za najbardziej pomyślną formę przypływu kapitału obcego, pod warunkiem, oczywiście, że nie mamy tu do czynienia z kolonizacją, albo że przybyły kapitalista, nie jest, jak to Niemcy nazywają, uciążliwym cudzoziemcem, np. zagranicznym żydem. Albowiem należy wierzyć, że już w drugiem, a najdalej trzeciem pokoleniu przybyły z zagranicy przedsiębiorca się spolszczy, a w ten sposób unarodowi się ściągnięty przez niego do kraju kapitał. Historja nasza wskazuje, że tą drogą zy-

skiwaliśmy bardzo dzielnych obywateli. Niestety, stwierdzić trzeba, że przy obecnym układzie stosunków tego rodzaju imigracja stała o wiele rzadszą, niż dawniej.

Natomiast niezwykle szkodliwe jest przybycie do kraju kapitalisty zagranicznego w formie założenia zagranicznej spółki akcyjnej lub wykupienia przez zagranicznego kapitalistę akcyj przedsiębiorstw polskich. Przy opanowaniu przez kapitał zagraniczny spółki akcyjnej nigdy nie wiadomo, kto i w jakim zakresie zdobywa sobie wpływ na gospodarstwo narodowe. Dlatego zadaniem polityki państwowej jest nietylko przeciwstawienie się dopływowi do kraju zagranicznego kapitału akcyjnego, ale również dążenie do likwidowania obecnie istniejących zagranicznych spółek akcyjnych.

Pośrednie stanowisko należy zająć wobec dopływu kapitału zagranicznego w formie pożyczek. Ta forma dopływu kapitału zagranicznego nie daje takich możliwości unarodowienia kapitału, jak przybycie kapitału wraz z przedsiębiorcą do kraju. Ta forma jednak, w zasadzie, nie jest tak niebezpieczna, jak dopływ kapitału akcyjnego, chyba że obdłużenie danego przędsiębiorstwa będzie tak wysokie, że będzie równoznaczne z jego całkowitem uzależnieniem od kapitału zagranicznego. W tym ostatnim wypadku kredyt zagraniczny jest bodaj jeszcze bardziej niebezpieczny od dopływu do kraju zagranicznego kapitału akcyjnego.

Obok kredytu długoterminowego, którego przedewszystkiem dotyczą uwagi powyższe, dużą rolę, przedewszystkiem w obrocie towarowym z zagranicą, odgrywa kredyt krótkoterminowy. I w zasadzie, jeśli nie przekroczy właściwych mu granic, jest on zjawiskiem naturalnem i zdrowem. Jeśli jednak rozmiar kredytów krótkoterminowych będzie zbyt wielki, a tembardziej jeśli te kredyty krótkoterminowe będą zużyte inwestycyjnie, to w tym wypadku przedstawiają one jeszcze większe niebezpieczeństwo uzależnienia gospodarstwa narodowego od kapitału zagranicznego, niż kredyty długoterminowe.

Specjalne stanowisko zajmują kredyty zagraniczne, udzielane państwu i innym związkom publiczno-prawnym. Nie należy ich oczywiście zaciągać na bieżące wydatki budżetowe. Natomiast zaciągnięcie kredytów, nawet zagranicznych, czy to na wielkie inwestycje, czy to na prowadzenie wojny, czy wreszcie na przeprowodzenie wielkiej reformy, może być słuszne i usprawiedliwione. To, czy pożyczka jest pożyteczna, czy szkodliwa, zależy od sposobu jej użycia. Trzeba jedynie pamiętać, że dzisiejsze pożyczki—to jutrzejsze i pojutrzejsze obciążenie społeczeństwa podatkami. Wobec tego nie wolno zaciągać, poza wypadkami absolutnej konieczności, zbyt wielkich pożyczek, bo to oznacza w przyszłości albo niewypłacalność państwa, albo też nadmierne podatki, płacone przez obywateli. W wypadkach, gdy zaciągnięcie pożyczki jest dla państwa pożyteczne, częstokroć w krajach biednych w kapitały jest rzeczą wskazaną zaciągnięcie pożyczki zagranicznej zamiast krajowej, gdyż w ten sposób nie utrudnia się zaciągania kredytów przez życie gospodarcze w kraju. Oczywiście kredyt zagraniczny musi być zaciągnięty na godziwych warunkach.

Jak widzimy z dotychczasowych wywodów, dopływ kapitałów zagranicznych winien odgrywać tylko wtórną rolę. Konieczność dopływu kapitałów zagranicznych będzie się w przyszłości jeszcze zmniejszała, zwłaszcza wobec zmniejszających się—naskutek dążenia państw do samowystarczalności—obrotów międzynarodowych, a przecież w znacznym stopniu kredyty zagraniczne są używane na zakupy, dokonywane zagranicą. Środki naprawy stosunków gospodarczych każdy naród znajdować winien przedewszystkiem we własnych siłach i możliwościach, i fatalną jest polityka gospodarcza tego rodzaju, że już jedynem wyjściem staje się szukanie pomocy obcej, jaką jest dopływ kapitałów zagranicznych, za którą to zresztą pomoc ci obcy każą sobie bardzo drogo płacić, a niekiedy nawet wogóle ociągają się z jej udzieleniem...

J. PRUS

ELEKTRONY JAKO ABSOLUT

Zagadnienie siły i materji niepokoi umysł ludzki od najdawniejszej starożytności. Nie tylko grecka, ale jeszcze sanskrycka filozofja usiłowała wniknąć w istotę tych pojęć, która dotąd usuwa się z pod skalpela. Jeśli jednak nie o jądro pojęcia chodzi, a o całość jego budowy, to analiza jest do pewnych granic możliwa, i to tylko w odniesieniu do materji. Bo pojęcie siły jest nawet w swym całokształcie za mało uchwytne, byśmy je mogli poddać rozbiorowi. Zmysłom naszym bowiem dostępne są tylko przejawy siły, ale nie ona sama. Natomiast materję chwytamy zmysłami bezpośrednio.

Aczkolwiek metoda badań doświadczalnych, na której wyrosła nowoczesna wiedza przyrodnicza, zaczęła powstawać dopiero w epoce Odrodzenia, to jednak pojęcia naukowe zasadnicze, któremi dotąd operujemy, zawdzięczamy starożytności. Ona to stworzyła koncepcję nieodłączności siły od materji i materji od siły, koncepcję atomów jako granicy podzielności materji i koncepcję eteru kosmicznego. Wszystkie trzy były jednak w owej epoce tylko pojęciami abstrakcyjnemi, filozoficznemi. Przyrodniczemi zaczęły stawać się stopniowo zaledwie od trzech wieków i dopiero w ostatnich czasach znalazły swój prawdziwie konkretny wyraz w teorji elektronów.

Podstawę teorji atomów, już nie w filozoficznem, a w przyrodniczo-naukowem ujęciu, stworzył Dalton w początkach ubiegłego wieku. Ale atom jeszcze długo pozostawał pojęciem raczej tylko liczbowem, ułatwiającem zrozumienie zjawisk chemicznych, zanim zdobył sobie stanowisko rzeczywistości materjalnej, które zawdzięcza rozwojowi fizyko-chemji. Ta najmłodsza gałąź wiedzy przyrodniczej stworzyła nowe metody badań i przyrządy nadzwyczajnej precyzji, dzięki którym nasze poznanie wdarło się wgłąb tajników materji. Koncepcja jej struktury atomowej została potwierdzona doświadczalnie, a jednocześnie pogłębiona, i w uproszczonem streszczeniu można ją ująć jak następuje.

Wszelka substancja składa się z niedostrzegalnie drobnych cząstek, które nazywamy drobinami (molekułami). Nie stykają się one wzajemnie, a pozostają w oddaleniu od siebie, i na tem polega kurczliwość i rozprężalność substancji w zależności od temperatury. Drobina nie jest cząstką dowolnie pojętą, ale ściśle określoną, dla każdej substancji inaczej zbudowaną grupą atomów jednorodnych, gdy chodzi o pierwiastek, a różnorodnych — gdy o związek. Obrazowo możnaby drobinę porównać do winnego grona, którego pojedyńczemi jagodami są atomy, pamiętając wszakże, że przestrzenie międzyatomowe są od samych atomów znakomicie większe.

Ten stopniowy podział masy materjalnej najpierw na drobiny i dalej na atomy, nie jest bynajmniej konstrukcją sztucznie wprowadzoną do nauki. Istnieje on w rzeczywistości, która wyznacza drobinom ich sferę działania w innych zjawiskach, niż atomom. Przyroda nie zna wprawdzie ścisłych rozgraniczeń między typami zjawisk, i między kategorjami ustanowionemi przez naukę istnieją zawsze typy przechodnie. Ale abstrahując od tych ostatnich, można podzielić zjawiska świata martwego na mechaniczne, fizyczne i chemiczne.

W zjawiskach mechanicznych czynną jest substancja w całej swej masie, i masa jest w nich jednostką. W zjawiskach fizycznych jednostką czynną jest drobina, przyczem jest ona najmniejszą jednostką materjalną, występującą w życiu fizycznem substancji. W jej życiu chemicznem jest ową najmniejszą jednostką atom, i tylko on jest jednostką czynną w zjawiskach chemicznych, o ile pod tą nazwą rozumieć będziemy reakcje między związkami lub pierwiastkami. Reakcje chemiczne są to więc zjawiska, które zachodzą nie między masami dwóch substancyj, ale w ich głębi, między atomami, gdy zjawisko fizyczne (np. rozpuszczalność, krystalizacja) zachodzi tylko między drobinami.

Każda z tych kategoryj zjawisk spowadza się w ostatecznem ujęciu do ruchu: w zjawiskach mechanicznych do ruchu mas, w fizycznych do ruchu drobin, w chemicznych do ruchu atomów. Ale punktem wyjścia jest zawsze zjawisko najgłębiej sięgające, zjawisko chemiczne: ruch atomów. Bez niego niema ruchu mas. Bieg pociągu po szynach jest wynikiem reakcji chemicznej węgla z tlenem pod kotłem parowozu. Uderzenie młota o kowadło— wynikiem reakcyj chemicznych, jakie zachodzą w ludzkim organizmie i powodują napięcie mięśni kowala.

Źródłem wszelkiej siły, jej ogniskiem, jest więc atom materji. To określenie stwierdza jednak tylko nierozłączność dwóch czynników: siły i materjalnego atomu, ale nie wyjaśnia przyczyn tej nierozłączności. Na pytanie, skąd w atomie materji powstaje związana z nim siła, przyniosło częściową odpowiedź dopiero ostatnie dziesięciolecie ubiegłego wieku. Przyniosło ją zaś nie w bezpośrednim skutku jakiegoś nowego odkrycia, ale drogą wniosków, wyciągniętych z szeregu wniosków i spostrzeżeń dawniejszych. Powstała mianowicie teorja, że atom nie jest cząsteczką materji ani ostateczną, ani jednolitą, ale złożoną z jądra i otoczki. Jądro, które nazwano jonem, jest naładowane elektrycznością dodatnią, otoczkę zaś stanowią mniejsze wirujące dokoła jądra cząsteczki, naładowane elektrycznością ujemną i nazwane elektronami. Tym sposobem dynamiczna energja atomów reagujących ze sobą substancyj tłumaczy się naruszeniem równowagi energji elektrycznej jonów i elektronów.

Koncepcja jonów i elektronów, stanowiących budowę atomu, była wielce pomysłowa nietylko dlatego, że wyjaśniała pochodzenie energji atomowej, ale i dlatego, że uzasadniała wiele zjawisk wtórnych o charakterze elektrycznym, jakie zachodzą przy reakcjach chemicznych. Nie mniej jednak pozostałaby ona tylko koncepcją, gdyby jej materjalna rzeczywistość nie została potwierdzona tak dobitnie, jak to się stać miało niebawem dzięki odkryciu pierwiastków promieniotwórczych.

Promieniowanie niektórych substancyj nie było zjawiskiem nowem, i już oddawna znane były ciała (np. siarek baru), które po dłuższem naświetlaniu promieniami słonecznemi same przez pewien czas świecą w ciemności. Jest to jakby oddawanie poprzednio wchłonionego światła, a więc energji zzewnątrz otrzymanej, a nie własnej.

Natomiast uran, tor, rad i kilka innych pierwiastków tej grupy promieniują stale bez uprzedniego ich naświetlania. Wydzielają zatem własną energję, której same są źródłem. Badania dokonane nad promieniotwórczością tych ciał odsłoniły zupełnie nowe i daleko wgłąb materji sięgające horyzonty. Wnioski bezpośrednie, wynikające z tych badań, prowadzą do wniosków ogólniejszych przyrodniczo-filozoficznych. I dlatego należy przedewszystkiem poznać wyniki samychże badań. Oto ich streszczenie.

1) Charakterystyczną własnością radu jest nietylko jego światło, ale i temperatura stale wyższa od temperatury środowiska. Zjawisko to polega bezsprzecznie na emanowaniu energji, ponieważ jego efekt, podobnie jak efekt każdej energji, daje się wyrazić w ciepłostkach (kalorjach) i dokładnie obliczyć. Suma energji, jaką do zupełnego jej wyczerpania wydziela 1 gram radu, odpowiada ilości 3.840.000 ciepłostek. Jest to energja równa tej, jaką przy wybuchu wytwarza 25 kilogramów nitrogliceryny lub 600 kilogramów węgla przy spaleniu.

2) Promienie emanowane przez rad i inne pierwiastki tej grupy są własnościami swemi pokrewne promieniom X, odkrytym przez Roentgena. Potwierdza to koncepcję elektrycznie naładowanych jonów i elektronów, których energja elektryczna wyładowuje się w postaci emanacyj radowych. Odkryto w nich trzy typy fal, lub wyrażając się inaczej — promieni, które oznaczono nazwami alfa, beta i gamma i które odnajdujemy (zwłaszcza typ beta) również w promieniach Roentgena. Zdołano też i promienie gamma wytworzyć prądem elektrycznym. Te trzy typy promieni różnią się długością fal i szybkością ich drgań, a stąd pochodzą odrębne ich własności.

3) Przyroda nie zna źródeł energji niewyczerpalnych. Odkrycie takiego źródła obaliłoby wszelkie nasze pojęcia przyrodnicze. Tymczasem rad stwarza właśnie pozory takiego źródła, ponieważ jego energja emanacyjna pozostaje wciąż w stosunku niezmiennym do jego wagi. To niezwykłe zjawisko znalazło swe wyjaśnienie w niezwykłej przyczynie, bo w „znikaniu“ samego radu, t. j. jego materji, która przekształca się w energję. I na tem właśnie polega jego emanowanie. Wprawdzie laik skonstantowałby zjawisko analogiczne w każdym t. zw. elemencie elektrycznym, używa-

nym do bateryj dzwonkowych. Tam bowiem również widzimy, że płytka cynkowa „znika“ w miarę wytwarzania prądu elektrycznego. Należy więc zdać sobie sprawę, że tu cynk nie znika, a tylko przechodzi w związek rozpuszczalny z chlorkiem amonu zawartym w elemencie. Zachodzi tu zjawisko zwykłej reakcji chemicznej, przy której wytwarza się prąd elektryczny tak długo, jak długo trwa reakcja. Ale materja reagujących substancyj nie znika. Ona się w energję elektryczną nie przekształca, i wciąż pozostaje materją, a powstanie prądu elektrycznego jest tylko zjawiskiem wtórnem, równoległem zjawisku reakcji. Natomiast w zjawisku emanowania radu zachodzi bezpośrednie przekształcanie się jego materji w potężną energję, emanującą falami promieni.

4) Powyższe zjawisko było odkryciem zupełnie nowem w nauce. Z kolei zrodziło ono pytanie, czy stwierdzona przemiana materji w energję jest i w odwrotnym kierunku możliwa? Badania odpowiedziały na to twierdząco: energja, emanowana przez rad, „materjalizuje się“ z powrotem; ale już nie rad, a inny pierwiastek z niej powstaje. I znowu nie należy tu szukać analogji z elementem baterji dzwonkowej. Tam cynk, reagując z chlorkiem amonu, tworzył związek: nowa substancja, która powstała, była tylko połączeniem dwóch już poprzednio istniejących. Tu zaś z promieni przez rad emanowanych powstaje nie związek, a pierwiastek, którego nie było. Uchwytny początek zjawisk emanacyjnych zachodzi w uranie. Emanująca zeń energja kondensuje się w materję dwóch pierwiastków: protaktynu i radu. Drogą ponownego emanowania energji powstaje z protaktynu aktyn, a z radu niton. Jego znów promieniowanie stwarza polon, a materjalizacja promieni polonu jest ołowiem. Podobne uranowym koleje życiowe przechodzi także pierwiastek tor, a jego emanacyjne potomstwo również kończy się na ołowiu.

5) Zjawiska te prowadzą pozornie do wniosku, że kiedyś zarówno tor, jak uran przestaną istnieć, że również przestanie istnieć rad, będący tylko postacią przejściową, a pozostanie z całej tej grupy jedynie ołów. Jednocześnie jednak rodzi się pytanie, czy ołów nie promieniuje dalej, a tylko tak słabo i powolnie, że rozporządzalnemi dotąd metodami nie możemy jego emancji uchwycić. A dalej: czy emanowanie jest przywilejem jednej tylko grupy ciał? Może jest ono udziałem wszelkiej materji? Nie mniej ciekawe i doniosłe jest zagadnienie przyczyny, powodującej emanowanie materji promieniami energji. Otóż przy pomocy specjalnych przyrządów zdołano z emanacyj radowych wydzielić każdy z jej trzech rodzajów promieni osobno i każdy strumień skierować oddzielnie na odpowiednie warstwy różnych pierwiastków. To samo uczyniono z różnego typu promieniami elektrycznemi, wytworzonemi sztucznie. W tem miejscu należy zauważyć, że to co, nazywamy sztucznem wytwarzaniem promieni, jest tylko chwytaniem różnych fal energji, wciąż drgających w przestrzeni, rozproszonych i skłębionych. Człowiek oddziela je tylko i koncentruje przy zastosowaniu odpowiednich metod i przyrządów. Okazało się tedy, że tak ujarzmione poszczególne fale, dobyte czy to z emanacyj radowych, czy z przestrzeni, i snopami promieni skierowane na różne pierwiastki, przenikają przez ich warstwę, przyczem powodują emanowanie tych pierwiastków. Zdołano więc wywołać emanowanie takich pierwiastków, które w zwykłych warunkach nie emanują, lub emanują nieuchwytnie. Promienie emanującej z nich energji materjalizują się podobnie jak promienie uranu, toru lub radu. Tą drogą zdołano np. glin i azot „zamienić“ w wodór, a rtęć w złoto.

6) Z doświadczeń tych wynika, że emanowanie może być udziałem wszystkich pierwiastków i że przyczyną emanowania pierwiastków jest rozbijanie ich materji odpowiedniemi falami energji. Im bardziej skoncentrowane są działające tu promienie, tem rozbijanie jest szybsze. Im zaś bardziej są rozproszone, tem powolniejsze jest emanowanie rozbijanej materji. Wyraz „rozbijanie“ nie jest tu użyty w znaczeniu przenośnem, ale zupełnie ścisłem. W zjawiskach emanacji zachodzi istotne rozbijanie materji. I to nie pierwiastka, nie jego masy, bo w takim razie substancja i w rozbitej, rozpylonej postaci, pozostałaby sobą, ale rozbicie m a t e r j i pierwiastka, to znaczy jego atomów. Bo tylko rozbiciem aż tak głęboko sięgającem daje się wytłumaczyć zjawisko, że produkt rozbicia nie jest już tem, co tworzą atomy i co nazywamy materją. Stąd też zabieg laboratoryjny, wywołujący emanację pierwiastków, nazwano bombardowaniem atomów.

7) Dochodzimy zatem do wniosku, że atomy materji składają się z cząstek jakiejś „pra“ czy „protomaterji“, którą początkowo nazwano jonem i elektronem. Niektórzy uczeni (Rotheford) nazwali cząstki tworzące jądro atomu protonami. Ale uzasadnienie nazwy jest sprawą drugorzędną, a zasadniczo sprowadza się ona do tego, że cząstki składające jądro atomu naładowane są dodatnio, a krążące dokoła niego—ujemnie. To bowiem stwierdzono doświadczalnie. Większość uczonych obejmuje jedne i drugie cząstki nazwą elektronów, która narzuca się z racji pokrewnego charakteru promieni emanowanych przez pierwiastki i pewnych fal elektrycznych.

8) Badania doprowadziły więc do wniosku, że atom i elektron nie są tylko koncepcjami, ale materjalną rzeczywistością, i nasuwa się tu pytanie, jaka jest wielkość tych cząstek? Boć skoro istnieją, to muszą zajmować jakąś przestrzeń, podobnie jak mikroorganizmy, których wielkości, choć minimalne, zostały jednak przy pomocy mikroskopu zmierzone i oznaczone. Z atomami i elektronami sprawa jest jednak o tyle trudniejsza, że i przez mikroskop dostrzedz ich nie można. Możność określenia ich wymiarów wydaje się więc niewiarygodną. A jednak dokonano i tego przy pomocy przyrządów i metod zbyt specjalnych, aby ich opisanie było tu możliwe. Doprowadziły one do wniosku, że atom materji zajmuje przestrzeń około 0,0000001 mm. (jedna dziesięciomiljonowa milimetra) średnicy, elektron zaś około jednej tryljonowej milimetra średnicy. Obliczono również ilość elektronów w atomie. I tak np. atom azotu składa się z 28-iu elektronów, tlenu z 32-ch, boru z 22-ch. Ponieważ zaś elektron, jak to z poprzednich cyfr wynika, jest 100.000 razy mniejszy od atomu, więc przestrzenie międzyelektronowe w atomie są olbrzymie. Również olbrzymie w porównaniu ze średnicą atomu są przestrzenie międzyatomowe w drobinie. W układzie tych cząstek zachodzą analogiczne stosunki, jak w układzie ciał niebieskich.

9) Filozoficzne, abstrakcyjne pojęcie atomu w starożytności oblekło się w ciało, i stało się kon-

kretnem pojęciem przyrodniczem. Takiej samej ewolucji uległo pojęcie eteru kosmicznego, t. j. tej niewiadomej, którą starożytni zapełniali przestrzeń. Dziś wiemy, że sfery międzyplanetarne i międzyastralne, jak również przestrzenie międzyatomowe i międzydrobinowe wypełniają te różne fale energji, emanującej z pierwiastków jednych, by powodować emanowanie drugich. Emanacje materjalizują się z powrotem i znów tworzą pierwiastki, które emanują ponownie. I to jest życie materji. W warunkach, panujących na naszym globie, niektóre tylko pierwiastki emanują dostrzegalnie. Inne może zbyt wolno, abyśmy to zdołali stwierdzić, lub może wcale w sferze ziemi nie emanują, ponieważ nie wszystkie fale, drgające w przestrzeni, do atmosfery naszej docierają. Charakter fal energji zależy przedewszystkiem od ciśnienia i temperatury. Skala ich długości i szybkości ich drgań jest bardzo wielka, a wynikająca stąd ich intensywność—różna, jak różna jest również przenikliwość względem nich rozmaitych substancyj. I tak np. szkło zwyczajne jest przenikliwe dla promieni światła w warstwach bardzo nawet grubych, a nieprzenikliwe dla promieni ultrafioletowych nawet w jednomilimetrowej warstwie. Natomiast przez kwarc promienie te przenikają z łatwością. Promienie beta nie przenikają przez pięciomilimetrową płytę ołowianą, gdy promienie gamma przenikają nawet przez takąż stumilimetrową płytę. W atmosferze niektórych planet, a tem bardziej w atmosferze słońca, w atmosferze miljardów jeszcze gorętszych od niego gwiazd i w sferach międzyastralnych drgają niewątpliwie fale energji, które bombardują atomy wszelkich pierwiastków i emanowanie ich odbywa się tam może nawet z gwałtownością wybuchową. Całość tego ruchu we wszechświecie jest nieustannem rozpadaniem się materji na elektrony i nieustannem skupianiem się elektronów w postać materji.

*

Do jakichże wniosków ogólnych prowadzą wszystkie te olbrzymie zdobycze wiedzy przyrodniczej? A także: czego człowiek w nich szuka poza korzyściami materjalnemi? Jeśli jest przyrodnikiem w ścisłem znaczeniu tego pojęcia, to szuka tylko tego wielkiego zadowolenia, jakie daje poznanie jeszcze jednej tajemnicy przyrody i wgłębienie się o krok dalej w jej ogrom. Jeśli jest myślicielem, czy to szczerym, czy spekulantem myślowym, a w pewnych granicach i na pewnym poziomie każdy jest jednem lub drugiem, to szuka nowego uzasadnienia swych prawd, lub nowych argumentów dla swego sofizmatu.

Wszelkie nasze koncepcje, rozumowania i doktryny wyrastają z dwóch pojęć zasadniczych: siły i materji. Pojęcia pośredniego nie znamy. Tymczasem elektrony żadnemu z tych dwóch nie odpowiadają, bo skupione w ruchu wirowym dokoła jąder są materją, a rozproszone w ruchu drganiowym i pędzące falami w dal — energją. Czemże więc są w istocie?

Materjalizm, bankrutujący już ostatecznie w tych właśnie latach, gdy teorja elektronów zaczęła przybierać konkretne kształty, szukał w niej kredytu dla uratowania się od niewypłacalności. Wyprowadził więc z teorji tej wniosek, że elektrony są jednocześnie wszelką materją i wszelką energją. Zatem wypełniają swą treścią zupełnie nowe pojęcie cwobec którego tamte dwa tracą już godność pojęć zasadniczych i schodzą do rzędu pojęć wtórnych.

Elektrony tak pojęte stają się absolutem, jakąś istotą we wszechświecie jedyną, która jest sama sobie siłą, a więc sama sobie prawem. W takiem ujęciu ruch elektronów, będący wszystkiem co jest, nietylko trwać będzie bez końca, ale i trwa bez początku. Bo elektrony, które są materją i energją jednocześnie, znikąd tej ostatniej czerpać nie potrzebują; impuls ruchu same w sobie znajdują. Jakaż to znakomita pożywka dla ateizmu i jaka soczysta! Boć wszak z namacalnych zdobyczy wiedzy przyrodniczej wydobyta. Tymczasem źródłem materjalistycznego wniosku jest błędna i sofistyczna interpretacja charakteru elektronów. Nie są one bowiem energją i materją jednocześnie, a kolejno na przemian, bo typ ich ruchu, od którego to zależy, nie może być jednocześnie dwojaki. Ruch falowy w dal jest przerwaniem ruchu wirowego po orbicie, i odwrotnie.

Elektrony nie są więc owym absolutem, owym Mesjaszem, wyczekiwanym przez materjalizm. Odpowiedź zaś na pytanie czem są, dostarcza fakt, że nie są cząstkami nieskończenie małemi, co czyniłoby z nich tylko matematyczne pojęcie, ale wymierzalnemi. A że wszystko, co zajmuje określoną przestrzeń, jakkolwiek byłaby małą, jest materją, są więc nią i elektrony. Taka konkluzja powinnaby nawet bardziej od poprzedniej dogadzać materjalistycznemu stanowisku. Przekreśla ona bowiem energję jako pojęcie zasadnicze i niezależne. Bo jeśli elektron jest w swej istocie materją, to energja przedstawia już tylko jedną z jej postaci. Elektronowy absolut, wyrażający pojęcie pośrednie między materją a energją, stwarza ich równouprawnienie. Gdy natomiast ów absolut staje się synonimem materji, to doktryna, nosząca ją w swym herbie, nabiera stuprocentowej powagi.

Jeśli jednak materjalizm unikał owej jedynie logicznej, a schlebiającej mu konkluzji, to bynajmniej nie przez skromność. Postawiony przez wiedzę krok od atomu do elektronu, krok, od którego doktryna materjalistyczna oczekiwała przywrócenia jej zachwianego prawa obywatelstwa w nauce, pogrążył ją doszczętnie. Atom był dla niej wygodniejszy, bo wolno było uwzględnić w nim przypuszczalny centr własnej energji. Ale tak pojęty atom był tylko koncepcją. Gdy stał się rzeczywistością, złożoną z materjalnych jedynie elektronów, to uderzono już w dno materji, w którem niema miejsca na własne centry energji: siły trzeba już szukać zewnątrz. I to nie energji w wyłącznie fizycznem znaczeniu, ale Siły w znaczeniu szerszem i wyższem, bo niezwiązanej z materją, a niezależnej — Tej, która nie jest bezimienna, i która niezbędny impuls wszystkiemu nadaje.

Jest to również z teorji elektronów wypływający wniosek. Jeśli bowiem elektrony w ruchu wirowym są materją, a wyrzucone z orbit, w ruchu falowym — energją, to czemże są one w bezruchu? — Niczem. Bo ich istnienie zaczyna się z ich ruchem, a bezwład elektronów byłby nicością. Nietylko byłby, ale był. Bo jeśli impuls ruchu musiały z zewnątrz otrzymać, to musiał istnieć moment otrzymania go, a przed tym momentem musiał istnieć ów bezwład, będący nicością, z której Bóg stworzył świat.

JAN WORTMAN

WYRĄBANY CHODNIK

NOWA POWIEŚĆ Gustawa Morcinka „Wyrąbany chodnik“ [1]) jest lekcją hartu i woli, zaciętego patrjotyzmu, upartego wytrwania w ideałach narodowych, jest księgą martyrologji poniewieranego ludu i jego zmartwychwstania. Jest to historja barwna, pełna emocjonujących momentów, pierwsza powieść śląska, napisana najautentyczniejszą gwarą śląską, jędrną i rubaszną — ale jakże charakterystyczną, napisana przez dziecko Śląska, świadka niewoli, krzywd, mąk i zmartwychwstania, po krwawych, ofiarnych zmaganiach.

Śląsk ma teraz powieść swoją, jakiej nie ma żadna z dzielnic Polski, powieść, o jakiej marzył Stefan Żeromski w „Snobiźmie i postępie“.

Przesuwa się przed naszemi oczyma trudne, pełne niebezpieczeństw bytowanie górnika polskiego przy rąbaniu węgla, naprawie zawalonych ganków, przy windzie, w maszynowni, przeżywamy całą okropność eksplozji trujących gazów, zalewu chodników, obrywania się stempli i brył węgla. Gdzie górnik stąpnie, czyha na niego śmierć zdradziecka. Czuwa nad nim św. Barburka lub Pustecki czy Skarbnik, groźny i dobroczynny duch kopalń, którego górnik zarówno się boi jak czci. Poznajemy twardą pracę i twardy charakter górnika, w którym drzemie najlepsze serce, zdolne każdej chwili do niebezpiecznych ofiar. Górnik narazi bez wahania swe życie, by ocalić kolegę z niebezpiecznej sytuacji, ginie przytem nieraz z pełną świadomością, party obowiązkiem serca do niesienia ratunku. Tak zginął stary Wałoszek Gustlikowy ojciec, tak zginął młodziutki Karlik. Śmierć Karlika (I. 394—401) należy do najbardziej emocjonujących, najtragiczniejszych, a zarazem najpiękniejszych opisów w powieści. Morcinek jest mistrzem w malowaniu groźnych momentów życia, momentów, których bohaterem jest śmierć. W opisach tych maluje się cała potęga, groza, okrucieństwo śmierci z nieporównaną plastyką.

Od nowel, w których podziwiać mogliśmy u Morcinka świetną znajomość terenu i przejęcie się cudowną grozą kopalń, w tych opisach hut, cynkowni, stalowni, pracy górniczej we wszystkich jej przejawach—jest ogromny postęp opisy zyskały na gwałtowności, dramatyczności, plastyczności. To pełne niebezpieczeństw życie pod ziemią tłumaczy nam dopiero charakter Ślązaka: szorstki, nieociosany, nieraz brutalny i bezwzględny, „pieronujący“ przy lada okazji, szczególnie wtedy, gdy chodzi o maskowanie dobrego serca. Dziecko górnika traci swego ojca, cóż naturalniejszego, że drugi górnik, bez słów, bierze je do siebie.

Górnik nie zna patosu czynu—nie myśli o własnych dzieciach, ginie, gdy zagrożone jest życie codziennego towarzysza pracy i niebezpiecznego życia, jakże często ginie razem z nim! „Na cackanie się i dobierane słówka niema czasu. Muszą one być takie, jak owe bryły węgla, wyrąbane z calizny“ (str. 22). „Ślązacy to dziwni ludzie, oni nie lubią okazywać swych uczuć na zewnątrz... raczej zapieronuje szorstko, aniżeli się roztkliwi. Twardzi ludzie, szorstcy, ale o złotych sercach“. Życie nauczyło Ślązaka być twardym i mściwym, gdzie trzeba. Nie ugną go szykany, zmniejszanie zarobków, pozbawianie pracy, areszty, grzywny, więzienia.

Typowym takim Ślązakiem jest stary Wałoszek. Stracił za swą polskość chleb, ziemię, dobytek, gnił w więzieniu, shańbiono mu córkę, by go skruszyć, syn jeden poszedł w renegaty. Wytrwał. Dopiero, kiedy go z pod ziemi, gdzie sobie urządził mieszkanie, usunąć chciano—przebrała się miara cierpliwości, wytrwania — zabija egzekutora, sam ścigany, szczuty, pozbawia się życia. Stary Wałoszek — to cudny typ Ślązaka — ucieleśnienie swej ziemi, zacięty patrjota, opętany polskością, dobry ojciec, sumienny pracownik, dzielny społecznik, prosty, serdeczny, jak skała twardy. Pomiędzy Bogiem a sobą nikogo więcej nie uznaje. Zacina się w uporze polskości, rozwścieczony krzywdą i męką ludu polskiego.

Tu wogóle tkwi tajemnica upartej polskości Śląska, strasznych, krwawych powstań: „zrozumiał... że to schodzi owoc tamtego posiewu szatańskiego, jaki Niemcy od lat rzucali w serce krzywdzonego człowieka; że to oni niecili nienawiść do siebie swojem postępowaniem. Ufni w swą przemoc zapomnieli, że zło rodzi zło, które przeciw nim się zwróci“ (II — 301). Przerażające swą potwornością okrucieństwa rządu niemieckiego, Hörsinga, *Grenzschutz*'u, urzędników państwowych i prywatnych, chlebodawców — hodowały w sercach Polaków mściwą nienawiść, pragnienie krwawej pomsty za tyle doznanych krzywd, za hańbienie córek, germanizowanie dzieci, pozbawianie mowy ojczystej, religji, pieśni, majątku, haniebny, wieki trwający wyzysk. Materjału wybuchowego dość się nagromadziło — starczyło okazji i iskierki, by lud się porwał do powstań już wtedy, kiedy sytuacja jeszcze nie rokowała powodzenia. Miarka się dawno przebrała, krzywdy stały się coraz jaskrawsze, a chronione były przez sądy niemieckie: skazywano dręczonych, nagradzano dręczycieli. To podtrzymało polskość. Podtrzymywało ją dalej głębokie przywiązanie do religji i języka, których stróżami byli zacni księża (piękny typ ks. Jankowskiego z powieści), owi Damrothowie, Lompowie, Miarkowie, Londziny i dziesiątki innych. Górnik rąbał w wytrwałem zapamiętaniu ów wymarzony chodnik do wolności: „jak hawierz zasypany we filorze bierze szramówkę i zaczyna kuć w caliznę i kuć... tak długo aż się kiedyś do ludzi dogrzebie... tak i z nami Ślązakami. Tak samo. Rąbaliśmy se ten chodnik i rąbali, ażechmy go wyrąbali“. Okrucieństwa w czasie powstań nauczyło Ślązaka niemieckie otoczenie, bardziej podobne do oszalałych zwierząt dzikich, niż ludzi. Bito, kopano, znęcano się nad ludnością polską w sposób wyrafinowany: „*Nun du Schwein, bist du noch polnisch*“? *Polnisch... bis... zum... Tode* szeptały w ukrwawioną podłogę stygnące usta“. Pośpiech (jeden z powstańców) stracił syna przez kulę niemiecką. Żadnej łzy. Bierze karabin, celuje powoli, strzela licząc... do siedmnastu. Każda kula była celna. „Pomściłem cię, synku“.

W charakterze ludności z cieszyńskiego i Górnego Śląska jest różnica duża. Widać to najlepiej na Gustliku (ciesz.) i Emilu (górn.), dwuch kuzy-

[1]) Gustaw Morcinek: „Wyrąbany chodnik“, 2 tomy. Powieść nagrodzona na Śląskim konkursie literackim 1931 r. Cieszyn 1932. Księg. „Dziedzictwo“.

nach. Cieszyniak, bardziej miękki i subtelny, ma odrazę do porachunków gwałtownych. Robotę narodową uprawia za pomocą agitacji, wieców, bibljotek, szkół — górnoślązak wierzy tylko w pięść. I ma rację. W stosunku do swoich ciemięzców trudno mu było inaczej postępować. Różnica charakteru obu Ślązaków uwydatnia się znakomicie w pojmowaniu miłości. Kochliwy Gustlik, głowa romantyczna, mimo prostego swego wychowania, pracy w kopalni — pojmuje miłość tylko idealnie. To też idealizuje wszystkie swe dziewczyny do których ciągnęło go serce. Mówi i myśli dużo na ten temat, jest w stosunku do dziewczyn raczej zalękniony, nieśmiały. Emil nie zaprząta sobie głowy rozmyślaniami na ten temat. Kocha tylko zmysłami. Poczynania innej natury noszą na sobie to samo piętno: tu krótkie, zwięzłe, rzeczowe przystąpienie natychmiast do sprawy. Tam refleksja, spokój, rozwaga, chęć polubownego załatwienia. Jeśli to jednak nie doprowadzi do skutku — wtedy i cieszyniak nie lęka się broni, jest równie bezwzględny, jak jego brat górnośląski.

Przy całej szorstkości natury, Ślązak ma wrodzone poczucie humoru rubasznego, prostego — ale serdecznego i naiwnego. Wspaniałym dowodem odwagi i humoru jest obrona dzwonów kościelnych przez kobiety górnośląskie, pyszna scena na wieży kościelnej, gdzie ulokowano grupę powstańcow z karabinem maszynowym: „Tak bych se raz zakurzył, a niewiem, czy to nie będzie grzech?—Cóżby to miał być grzech? — Bochmy som w kościele! — Eh, jo myśle, że tu już człowiek może se zakurzyć. To już jest na wieży. Jo se też zakurza". — Ci sami konstatują po chwili, że w chłodnicy karabinu maszynowego niema wody, jeden z nich napełnia więc chłodnicę w sposób prosty i prędki, tłomacząc drugim, że na froncie nieraz tak robili: „No ja, co inszego na froncie, a co inszego tutaj! Tu jest przecie kościół. To może być grzech, lebo co! — Eh! już nóm tam Ponbózek taki grzech wybaczy". Najczęstszym przejawem humoru śląskiego jest ironja. Przy witaniu polskich żołnierzy na Górnym Śląsku zjawił się też dawniejszy polakożerca, kierownik szkoły Kowoll: we fraku, w cylindrze, z grubem cygarem w ustach, z przewieszoną przez pierś szeroką na dwie dłonie wstęgą czerwono-białą: „Dziwejcie się, dziwejcie się,—ten stary fason germański! Co to robi?—Dyć on mo polsko bandla na basie przewieszona... Hale, Kryste Panie, koniec świata, czy co? — Ja, dyć on teraz pieroński polok!.."

Możnaby przykładów takich znaleść dużo. Morcinek wplata je zręcznie, gdzie trzeba, uzupełniając tem znakomicie charakterystykę Ślązaków. Należy to wogóle podkreślić z uznaniem, że udało się stworzyć Morcinkowi pełny obraz Śląska i Ślązaków, jak nikomu przedtem. Widzimy górnika przy pracy w kopalni, na roli, w domu, przy zabawie, przy pracy narodowej, społecznej, w smutku i radości, widzimy starych i młodych, dzieci, kobiety, mężczyzn, widzimy ich, ginących ofiarnie za Polskę, widzimy wieś i miasto, szkołę i kościół, poznajemy ich otoczenie, nie brak i wstrętnego typu renegata donosiciela (Sojka, Kożdoń). Naprawdę, trudno było dać obraz pełniejszy, barwniejszy, prawdziwszy i plastyczniejszy, jak go dał Morcinek w „Wyrąbanym chodniku".

W Ślązaku pokazał nam Morcinek syntezę Polaka w walce o wolność: osobistą i narodową, ten żmudny, ciężki, pełen ofiarnego poświęcenia okres wyrąbywania chodnika do Polski. Tak stworzył Morcinek epopeję Śląska, jaką żadna dzielnica się poszczycić nie może. Osobne słówko należy się kunsztowi pisarskiemu Morcinka. Pisał swą powieść tym językiem prostym, jędrnym, dosadnym, który stanowi cały czar śląskiej gwary, w którym przebija się cały charakter, całe życie śląskie, a stosując terminologję górniczą umiejętnie i tam, gdziebyśmy się jej nie spodziewali („gdy stał pod chórem a organy odrabiały swoją szychtę"...). To znów nadaje słowom plastyczność, godną mistrza („krzyczały gazety niemieckie, z murów afisze niemieckie, wołały ich litery, układające się w słowa, nabrzmiałe chciwą radością, leciały w oczy jak nieprzejrzana burza czarnych skrzydeł kruczych, co się na żer zlatują, opadały w uszy ludzkie skowytem radujących się bestyj, co świeżego trupa zwietrzą..."). Każdemu nastrojowi potrafi Morcinek nadać właściwy ton, odpowiednią barwę („czerwony płomyczek przed ołtarzem wisiał w mrokach jak drobny motylek na rubinowych skrzydełkach, kolorowe płachty chorągwi wysunęły się z popielatego światła, co z wysokich okien przeciekało, a z każdego załomu i z każdej wnęki, zatopionej jeszcze w czerni kryjącej się w nocy, wstawał jakiś zabobonny lęk i za włosy ludzi chwytał"). Szczególnie pięknie wypadły w powieści drobne i większe opisy przyrody, jak jasne plamy na tle czarnego od dymu nieba.

Akcja toczy się żywo, przesuwając się zręcznie z Cieszyńskiego na Górny Śląsk, z kopalni do domu, przerwana tu i owdzie drobiazgowym opisem to odpustu, to pewnych przeżyć duchowych. Pewną dysproporcję stanowią opisy walk powstańczych, zajmujące nieproporcjonalnie dużo miejsca. Ale i ta rozwlekłość okupiona jest rzeczami o porywającej sile dramatycznej, bez tanich efektów, roztaczając wstrząsający obraz zemsty skrzywdzonego ludu.

Postacie odznaczają się budową zwartą, psychologicznie są dobrze uzasadnione, dają pełny obraz Ślązaka. Świetnie wprost wypadła postać Wałoszka i dwóch jego towarzyszy, Marka i Ściskały, mocno nakreślona jest postać Emila. Pewne zastrzeżenie budzić musi postać Gustlika, mojem zdaniem, przeintelektualizowana. Jakkolwiek Morcinek stworzył rozmyślnie kontrast pomiędzy Emilem a Gustlikiem, to jednak Gustlik nie wyszedł tak wykrojony z jednej bryły, jak reszta postaci. Morcinek zapatruje się w Gustlika zanadto jakoby w siebie — i tu chyba tkwi klucz do zrozumienia psychologji Gustlika.

Morcinek wykazał swą nową powieścią talent pierwszorzędny, wykazał wspaniały dar obserwacyjny, umiejętność wypowiadania się z całym kunsztem powieściopisarskim, świadomym swej odpowiedzialności. Jako pisarz regjonalny nie ma równego sobie w Polsce, a na Parnasie współczesnych powieściopisarzy polskich zajmie z tą powieścią stanowisko wybitne.

Talent Morcinka odznacza się serdeczną, bezpośrednią otwartością, jest pozbawiony snobizmu, tchnie radością życiową, szczerym sentymentem religijnym i patrjotycznym, odznacza się głębokiem ukochaniem ziemi i ludu, przejęciem się dolą i niedolą swej najbliższej ojczyzny, w ścisłem zespoleniu z szeroką swą ojczyzną, Polską. „Wyrąbany chodnik" zasługuje w całej pełni na to, by go poznała cała Polska.

Lubliniec. ALFRED JESIONOWSKI

NA WIDOWNI

Z dziejów grzechu. — Jak to było w owym maju. — Były hasła i legendy, program sam się robił. — Już się nie bar-tli. ale się tli. — Konserwatyści zawsze zadowoleni. — System człowieka bez duszy. — Jego poezja.

SPOŁECZEŃSTWO polskie sześć lat temu nie zdawało sobie sprawy, komu i poco był potrzebny przewrót majowy. Pierwszych wyjaśnień udzielił p. Stefan Grostern w „Nowym Kurjerze Polskim“:

„Hasło, które Marszałek sprecyzował pierwszej nocy po ciężkim dniu 12 maja — to tylko program etyczny. Ale z tego programu moralnego płynąć muszą wskazania polityczne i socjalne, które utrwalą miejsce Polski w rodzinie narodów, dążących w trudzie ducha i znoju ciała do osiągnięcia najlepszych ideałów ludzkości“ (nr. 102 z 15 maja).

Hasło-program; program-hasło. Odtąd ludzie, będący poza konspiracją, mieli temat do rozmyślań: jakie się tam kryją „wskazania polityczne i socjalne“, do której to „rodziny narodów“ pragną nas zaliczyć i jakie to są te „najlepsze ideały ludzkości“.

Wkrótce stało się jasnem, że huraganowy ogień pocisków sanacyjnych w stronę społeczeństwa tego typu, jak: „koalicja złodziei, korruptorów i prostytutek politycznych“, „naród idjotów“ i t. p. to była tylko retoryka dywersyjna. W. Stpiczyński już przed przewrotem 1 maja miał to hasło gotowe:

„Widmo Piłsudskiego z dnia na dzień potężniejsze i groźniejsze, budzi strach, że doszedłszy do władzy skończy z tem gorszącem widowiskiem rozkradania Państwa i, schowawszy do kieszeni klucz od kasy publicznej, ukróci rozszalałe przekupstwo dusz,—wywołuje blady strach na brudnych fizjognomjach dzisiejszych matadorów „narodowej“ opozycji i t. d. („Głos Prawdy“, z 1 maja).

A 15 maja tenże Stpiczyński pisał:

„Zrodził się ezyn państwowego i narodowego renesansu. Zakończył się akt jego pierwszy: zwycięskie ujęcie władzy w imieniu pracującej demokracji... Trzeba wielki i śmiały czyn doprowadzić do końca, wstąpić na drogę państwowej demokracji“ („Głos Prawdy“ nr. 140 z 1926 r.).

Temu zarysowującemu się w zagadkowych określnikach programowi patronowały wtedy sfery liberalne, które na przewrocie zamierzyły zrobić interes polityczny. Na czele rządu stanęli wtedy: Bartel, Czechowicz, Gliwic, Mikułowski - Pomorski. Wiemy, co znaczą te nazwiska: stara demokracja liberalna, obrońcy własności indywidualnej, parlamentaryzmu... Aliści już 23 maja tenże p. Stpiczyński, w temże piśmie, niezadowolony z obrotu, jaki sprawa rządu wzięła, wołał pełną piersią, domagając się pogłębienia rewolucji:

„Idziemy budować Polskę, budować demokrację, tworzyć nowe formy życia. Spuszczamy się na same dno społecznego uwarstwienia szukać kruszcu, by wynieść go ku górze, okupowanej przez zgniliznę. Nasze wolne i czyste ręce wyciągamy ku wszystkim (*wsiem*, *wsiem*) współobywatelom... Musimy być nieubłagani, konsekwentni i bezwzględni... Za błyskawicą musi przyjść grom, a po nim wspaniałe, przecudne odrodzenie natury i słoneczna, upojna, radosna wiosna w naszym kraju“.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Długi czas ważyło się, kto ma prawo przemawiać głośniej: Bartel czy Stpiczyński. Sześć lat minęło na kneblowaniu ust tym, którzy sobie przypisywali przewrót i czekali na swoją zapłatę. Płacono za milczenie w rachubie, że czas tlejące iskry zarzewia wygasi i że posiadanie władzy jest dostateczną za wszystko dla wszystkich zapłatą. Udało się nawet usunąć z widowni zawiele krzyczącego Stpiczyńskiego, ale przecież duch przewrotu pozostał. Tlił się, obejmował coraz nowszy materjał, szedł w głąb. A jak wysoko sięga ten proces tlenia, widzieliśmy w poprzednim n-rze „Myśli Narodowej“ z przytoczeń artykułu „Kurjera Wileńskiego“, który dotąd raczej się „bartlił“, a dzisiaj cały się tli. Uznał już za swą własność ów program tworzenia nowej „demokracji państwowej“ i „państwa społecznego“, całej doktryny antyparlamentaryzmu i „przesuwania punktu ciężkości z prawa własności na prawo pracy“... Zaczęło się od hasła etycznego zmiany ludzi, przeszło się do zmiany ustroju państwa, ale pokazało się, że zmiana tego ustroju domaga się również zmiany ustroju społecznego.

Dążenia ku „pogłębianiu rewolucji“ wzięły górę w drodze „uzgodniania“ teoretycznego i praktycznego w łonie „sanacji“ i dziś—jak się pokazuje — powrót do steru bartlizmu już jest niemożliwy. Sprawa bowiem tych dążeń nie zamyka się w ramach prasy sanacyjnej, ona daleko zaawansowała w praktyce, zarówno w stosowaniu pojęć prawnych i państwowych, jak i społeczno-ekonomicznych oraz tyczących wychowania publicznego.

W ostatnim zeszycie „Przełomu“, który dorabia program do praktyki, czytamy (nr. 5):

„Niema polityki bez programu, niema programu bez zasady. Zasadą polskiej polityki społecznej jest dziś właśnie radosna twórczość. Hasło społecznej przemiany. Radosna twórczość — to niedokończony poemat, poemat prozą najpiękniejszą — rewolucji 1926 r.... Poemat ten trzeba opracować do końca. Do skutku“...

Tu następuje tyrada, jakby w tłumaczeniu z wezwań sowieckich do „piatiletki“:

„W Italji drenują bagna pontyjskie. W Związku Sowieckim także nie troszczą się o „przetrwanie“, pracując na tempo, łamiąc przeciwności, obalając przeszkody; pięciolatka — twórczość radosna — plan, program, wytrwale urzeczywistniana zasada“...

Zgodnie z tym ideałem zaleca się tedy zamiast parlamentaryzmu i wolności, autokratyzm jednostki, wyobrażającej „genjusz demokratyczny“ (Lenin), który „zmusza tłum do działania bez czekania na jego aprobatę“ (nr. 5 „Demokracja rzeczywista i urojona“). Ustrój wszelki polityczny—to tylko „fasada“; podstawa ustroju jest społeczna. Tutaj zaś zasadą będzie w Polsce „nie prawo własności, ale prawo pracy i nie wolność gospodarcza, tylko planowość gospodarcza“. W konstytucji wyrazi się to w ten sposób, że „Rzeczpospolita polska nie jest mieszczańskiem państwem liberalnem, lecz jest ludowem państwem pracy“ (nr. 3 „Przełomu“)

— — — — — — — — — — — — — — — —

Deklaracje powyższe traktowane są przez opinję, jakby ich źródło ideologiczne otworzyło się nagle w r. 1932 pod wpływem rozmyślań o kryzysie światowym. Ale tak nie jest. Widzimy to z zestawień z tezami tej grupy z r. 1926, z czasów pierwszego impetu, potem tłumionego, kiedy „Głos Prawdy“ był niczem innem, jak dalekiem odbiciem

„Prawdy“ sowieckiej. Wtedy nie było kryzysu, przewrót zaś ówczesny nie był zdarzeniem nagłem, lecz przygotowywany był kilka lat wcześniej właśnie przez ludzi, jak o tem zapewniał „Głos Prawdy“, tego typu radosnej twórczości. Pokazuje się, że próby przeciwważenia tej brygady wszystkiemi następnemi brygadami były daremne. Bezradność, jaką one wykazały w czasach ciężkiego kryzysu, ułatwiła wydobycie się na wierzch tym, którzy mieli od początku swój program i, powtarzając zdawkowo mamiące hasła a legendy, tak dla nich użyteczne, swoje robili, opanowując faktycznie sytuację.

Gdzież teraz są ci, którzy przewrotowi dali swoją firmę, a zwłaszcza ci, którzy roztoczyli nad nim taki czuły protektorat, owi liberałowie, przypatrujący się teraz sprawom ze swej loży? Gdzie socjaliści, którzy w r. 1926 do przewrotu dopomogli? Gdzież są owi publicyści i działacze z „Czasu“, „Kurjera Polskiego“, „Słowa Polskiego“, z Nieświeża, Lewjatana, których idea majowa tak pięknie połączyła w nienawiści do „nacjonalizmu“ polskiego z żydami, socjalistami i „sanacją”, owi obrońcy ustroju politycznego i społecznego?

„Czas“ coprawda mruczy pod nosem na paniczów:

„Nie łudziliśmy się nigdy, jakoby z panami z „Przełomu“ i z „Walki“ wiele nas łączyło. Dzieli nas od nich bardzo wiele: stosunek do tradycji polskiej i do Kościoła, stosunek do ustroju kapitalistycznego. Mimo tego sądziliśmy, że to, co nas łączy: program przebudowy politycznej państwa jest dość silnym kitem. Kwestjonowanie siły tego wspólnego programu uważamy za robotę szkodliwą i tworzącą niepotrzebne pozory niesnasek w obrębie grupy rządowej“.

Ale w rezultacie, przed panem, służbiście się pręży:

„Bez względu na to konserwatyści pozostaną w tym obozie, w którym widzą możność pracy dla państwa, możność budowy Polski na zdrowych podstawach“.

Owe „niesnaski“ z powodu stosunku do tradycji polskiej, Kościoła i ustroju społecznego dla „Czasu” są właśnie dowodem zdrowia. Bardzo zdrowe podstawy!

— — — — — — — — — — — — — — — —

To, co naszkicowałem na podstawie głosów prasy — bez dotykania wytworzonych praktyką polityczną stosunków w państwie—ma na celu wykazanie, jak „rozbrojona moralnie“ jest dusza polska od wschodu. Właśnie, gdy przyszedł czas odbudowywania cywilizacji polskiej w warunkach niepodległości, zdajemy egzamin z niedojrzałości wschodnich dzielnic Polski. Cały czas rozbiorów walczyły one z Rosją na to, aby teraz jej prądom umysłowym ulegać. Trzebaż w dodatku nieszczęścia, że—wskutek zamachu—do „sanowania“ (uzdrawiania) Polski wzięli się ludzie surowi w kulturze, pochodzenia kresowego, najbardziej na prądy wschodnie podatni.

W świecie ducha zachodzą swoiste zjawiska klimatyczne. Cywilizacja rosyjska, ważąca się czas dłuższy między Europą i Azją, doznała szczególnego porażenia. Wschód i Zachód tak się w niej zneutralizowały, że po wielkim wysiłku wojennym, została „bez duszy“. Za duży był widocznie wysiłek. Zaopiekowali się nią Żydzi, którzy na taką chwilę czekali, i zastrzyknąwszy jej trzecią międzynarodówkę z ideologją Marxa, stworzyli potworny automat, który, jak doktryner Lenin zapewnia, może żyć bez udziału duszy. Pierwsza to próba tego rodzaju, dokonywana na materjale biernym, nie sprzeciwiającym się złu, cierpliwym, ale przerażająca: nie widziano bowiem jeszcze w dziejach człowieka zbiorowego bez duszy.

Ten system nazwano systemem „materjalizmu djalektycznego“. Na czele stoi jakiś „genjusz demokracji“, kierujący ruchem autokratycznie, „zmuszając tłum do działania bez czekania na jego aprobatę“. Chodzi tylko o to, aby wprawić masę w ruch, aby pracowała „na tempo“. Oczywiście, niema prawa własności nie tylko materjalnej, ale także idealnej. Zabroniona jest religja, szkoły zaś są jednolite i mają na celu przygotowanie państwowe do systemu ruchowego w radosnej twórczości. Duch (myśl) jest materjalną fosforyzacją nerwów, potrzebną tylko na to, aby zadanie przetwórcze rzeczywistości uświadamiać i „radość“ w człowieku ożywiać.

Taka fosforyzacja nie daje ciepła. Temperatura życia obniżyła się poniżej zera i z wielkiego cielska rosyjskiego stał się lodowiec, który obniża temperaturę u sąsiadów, źle duchowo zabezpieczonych.

Materja — to materja, ale któżby się spodziewał, że inteligenci polscy, że młodzież wileńska, do wczoraj jeszcze karmiona ideałami ultraidealistycznemi romantyzmu, głosicielka praw ducha i wolności, za ideał dla Polski uzna automat sowiecki? Model ten w Polsce się nie przyjmie, dusza bowiem jest zasadą budowy cywilizacyjnej zachodniej. Właśnie dlatego tak odsuwa się od żydowskiej, że spostrzegła, jak blizki dla niej jest „materjalizm djalektyczny“. Nic bardziej nie szkodzi „sanacji“ w oczach społeczeństwa, jak właśnie ów dwuznaczny stosunek do cywilizacji zachodniej.

Młodsze pokolenie sanacyjne dorabia teraz teorje w duchu materjalistyzmu djalektycznego, ale szkoda na to czasu i szlachetnych dusz polskich. Nie uzasadnią bowiem tego, co „sanacja” bez teorji już w Polsce zrobiła, co zrobiła z mimowolnego bodaj naśladownictwa, właściwego ludziom niekulturalnym. To wszystko samo się zawali i dziecinne teorje nie uratują niczego. Idea społeczeństwa-automatu w Polsce się nie przyjmie.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Biedni chłopcy wileńscy, owi „pionierzy“, których tak nieuczciwie „Kurjer Wileński“ podbechtuje do przewrotu, nie poprzestają na przekładaniu poetów bolszewickich, lecz, naśladując ich, sami komponują do swego pisemka wiersze. Udają człowieka bez duszy, któremu mózg fosforyzuje. Może to ich narazie bawi, ale czuję ich rozpacz na myśl, że tak trzeba będzie spędzić całe życie. Oto dla humoru przykład:

„Na dnie wystygłej Sahary i piasku i transcedentów
laborant trzepoce łapami, jak żaba na wosku rozpięta.
Na dnie pustego leja mrówkolew mieszka — absolut
i czeka aż docentowi mózg się otworzy jak strąk.
A docent spraw niezmierzonych trzepoce tryljonem rąk
i leżąc na srebrnej podłodze
topolo, krzyczy, topolo“.

Potomku Kochanowskiego i Mickiewicza, wróć lepiej do swoich, zaprzestań utrupiać Polskę, bo się z ciebie śmieją.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

KIERUNKI I GATUNEK WYCHOWANIA PUBLICZNEGO w Polsce niepodległej wywoływał już nieraz krytykę, ale obecny minister oświecenia p. Jędrzejewicz może sobie przyznać, że żaden z jego poprzedników nie budził swą działalnością tylu zastrzeżeń, a nawet zdziwienia.

Reforma szkolnictwa, którą przeprowadził przez parlament z taką żarliwością, wywoływała zdziwienie, gdzie leży źródło tej gorliwości. Nie leży ona bowiem ani na linji ideologji oficjalnej „sanacji", ani w interesie wychowania, ani też nie może być dogodna skarbowi, znajdującemu się w kłopotach. W komisjach i na ogólnych zebraniach Sejmu i Senatu udowodniono, że reforma jest nie na czasie, że nie jest potrzebna w tej postaci i że jest źle obmyślana. Krytyka projektów do ustaw jest bezowocna, „sanacja" bowiem dla tego samego głosuje za niemi, że nie znajdują uznania w opozycji. Pytano p. Jędrzejewicza, skąd weźmie na tę reformę pieniądze; nie umiał znaleźć odpowiedzi.

Reforma ma wejść w życie w lipcu. Aliści teraz, na miesiąc przed tą datą, p. Jędrzejewicz wygłasza w Krakowie mowę w Tow. Nauczycieli Szkół Wyższ., w której się okazuje, że reforma ta napełnia go troską.

Któryś z pochlebców, stanowiących istną plagę naszego życia obecnego, w panegryku wyraził się: „Imię Twoje będzie związane na wieki z historją szkolnictwa"... Na to p. Jędrzejewicz odrzekł, że nie przyznaje sobie zasługi co do tej reformy.

I dalej mówił (przytaczamy z dzienników):

„W kraju bieda i nędza, przystępuje się do reformy ustroju szkolnego. To jest znamienne dla współczesnego pokolenia, które tworzą ludzie walki. Jest w tem moment ryzyka! Ja nie widzę tej szkoły zrealizowanej; wynik tej realizacji jest prawdopodobny, pewnym nie jest! Będziemy dokrawali warunki techniczne do materjalnych!

Sam rząd nie będzie mógł nowego ustroju zrealizować — muszą to zrobić nauczyciele. Sytuacja nauczycielstwa jest trudną. Przeciążone pracą, niedostatecznie wynagradzane, zmuszane w życiu codziennem parać się z trudnościami materjalnemi, będzie się musiało parać z tem, czem je w nowej ustawie obarczyło „ryzykanckie pokolenie" (dosłownie!).

Dreszcz mię przechodzi na myśl o zmianie konstrukcji, programów, sytuacji nauczycieli i uczniów, ich roboty szkolnej i domowej, o wtłoczeniu w tryby nowej maszyny miljonów dzieci i 100.000 nauczycieli. Ale trudno! My, t. j. rząd, daliśmy ustawę, my, t. j. parlament, uchwaliliśmy ją — krew żywą muszą dać nauczyciele. 6 lat potrzebne jest na przeprowadzenie ustawy, 6 lat drugich do wejścia w szablon. Oblicze przyszłej szkoły, którego jako minister nie będę już oglądał, jest w ręku nauczycielstwa które musi przyjąć ciężar i wagę odpowiedzialności (!) za wykonanie ustawy".

Szkołę polską spotkało jakieś niewiarogodne zdarzenie. Skoro twórca naprawy, jak sam przyznaje, nie widzi tej naprawy i drżenie go przejmuje na myśl o tem, co sam spowodował, to skądże biedny nauczyciel ma brać na siebie odpowiedzialność za to wszystko? Skądże on weźmie pieniędzy na nowe szkoły?

„Ryzykanctwo" nie polega na zrzucaniu z siebie odpowiedzialności, ono zawiera w sobie moment odwagi. „Pokolenie ryzykanckie" złożyłoby najlepszy dowód odwagi, gdyby teraz, póki czas, przyznało się do błędów i reformę wycofało.

W żadnej bodaj dziedzinie stosunek państwa do społeczeństwa nie uległ takiemu zepsuciu, co w dziedzinie wychowania. Obecne choćby egzaminy maturalne z tematami wypracowań, przez p. Jędrzejewicza aprobowanemi, odbierają szkole dzisiejszej resztę powagi. Owe podróże p. Jędrzejewicza po Wielkopolsce, gdzie styka się manifestacyjnie tylko z grupami (i tak niepoważnemi) schlebiającej mu „sanacji", wywołują zdziwienie powszechne, że reprezentantowi władz, i to w dziedzinie wychowania, może zależeć na tak „ryzykanckiej" grze ze społeczeństwem.

To nie jest czas po temu.

POLSKIE RADJO ZNÓW PRZYPOMNIAŁO SIĘ słuchaczom oryginalną treścią audycji. Wzięło ono udział w zapoczątkowanym przez „dzieci angielskie" Dniu Dobrej Woli. Dzieci, przerażone okropnościami wojny i zapalone spontanicznie do idei pokoju, poczuły nagle niczem nieodpartą potrzebę komunikowania się z sobą na falach eteru. Radjo kocha młodzież, póki ta jeszcze nie dojrzała (po egzaminie dojrzałości młodzieniec staje się z reguły „antypaństwowcem"), a już specjalnie ukochało dziatwę ze szkół powszechnych, najbardziej „państwowy" czynnik społeczeństwa polskiego. W entuzjaźmie dla pajdokracji kazało swym abonentom słuchać, jak mały Kazio oświadczył się za pokojem w imieniu... Imperjum Brytyjskiego, odpowiedziała mu zaś mała Bronia, reprezentująca w tym wypadku pokojowe aspiracje Mocarstwowej Polski. Po tych dwóch przemówieniach podobno szanse hitleryzmu na wywołanie wojny zmniejszyły się ogromnie.

Następnie usłyszeliśmy uroczystą deklarację, że dzieci żywiołowo odwracają się od zabawek wojennych, że ołowiani żołnierze, trąbki, czaka ułańskie, szabelki nie interesują dzieci, a nawet budzą w nich wstręt. Natomiast instynkt walki ma inne drogi swego zaspokojenia: w szlachetnej emulacji sportowej. Tu usłyszeliśmy wybębniony jednym tchem przez ucznia szkoły powszechnej wiersz Wierzyńskiego p. t. „Nurmi", w którym autor wypowiada się entuzjastycznie za ideą stawiania pomników żyjącym sportowcom. Czy oznacza to angażowanie się „Polskiego Radja" przeciw stawianiu pomników żyjącym osobistościom wojskowym—nie wiemy i niewiele nas to obchodzi. Uśmiechnąć się natomiast trzeba na głos zachwytu nad idealizmem Nurmiego, świeżo właśnie zdyskwalifikowanego w sporcie za uprawianie profesjonalizmu.

Na zakończenie Polskie Radjo zainscenizowało nam z mozołem słuchowisko, przedstawiające rozmowę uczniów na pauzie. Wynajęci aktorzy zastanawiali się, pseudo-uczniowskim żargonem, nad przyjaźnią polsko-niemiecką. Idea ta wywołała wśród uczniów (t. j. aktorów) entuzjazm i krótki czas, przeznaczony na audycję, wystarczył, aby nawet tępy „nacjonalista", początkowo wypowiadający się przeciwko Niemcom, dał się przekonać, że może akurat z ich grona, wspólnie z nadjeżdżającą właśnie wycieczką młodzieży niemieckiej, którą mają polscy uczniowie gościnnie przyjąć, wyjdzie duch zgody i bratniej miłości, zakończenie tysiącletnich bojów. Tak okres historji, zaczęty przez zwycięstwo Mieszka nad Geronem, kończy się zwycięstwem małego Kazia nad samym sobą. Czego nie dokonały traktaty, praca duchowieństwa, wyroki stolicy Apo-

stolskiej — to osiągnęły w dwadzieścia minut odpowiednie honorarja Polskiego Radja.

Młodzież, słuchająca audycji radjowej, niestety, nie doczekała jej zakończenia, gdyż właśnie zbliżał się termin zbiórki, obowiązującego, jak wiadomo, we wszystkich szkołach — Przysposobienia Wojskowego...

OSTATNIM „PRZEBOJEM“ SANACYJNEJ GOSPODARKI jest obniżenie uposażeń urzędnikom i wojskowym na prowincji o 9, względnie o 8 procent. Obniżka nie dotknęła urzędników stołecznych, tym bowiem poprzednio już, i najpierw, zmniejszono płace. Pamiętamy żywo, jak tę poprzednią zniżkę uzasadniono w wywiadach i głosach dzienników pół-urzędowych. Powstała mianowicie „natychmiastowa konieczność“. Wobec wymagań tej najwyższej, zgoła niekonstytucyjnej, władczyni, wszystkie inne względy poszły na bok. Podnoszono mianowicie kwestje prawidłowości i celowości gospodarczej zarządzenia. Cała atoli ta dyskusja w świetle wyjaśnień półurzędowych okazała się bezprzedmiotowa. Jakżeż mówić o celowości, o poprawności formalnej, kiedy krok jakiś nakazuje „natychmiastowa konieczność“? Argument rzekomo tłumaczący wszystko, przecinający wszelką dyskusję. Tu zauważmy tylko, jak dalece argument to nowy, i świadczący o upadku sztuki rządzenia. Doskonale znane jest pojęcie „konieczności państwowych“: powtarzających się z roku na rok i stałych. Jest to pojęcie potrzeb koniecznych, a zgóry przewidzianych—takich, jak pobór rekruta i ściągnięcie podatków. W przeciwieństwie do powyższych, „konieczności natychmiastowe“ są to te, których się nie potrafiło przewidzieć, pomimo specjalnych wysiłków przewidywania przy układaniu budżetu. W każdem, nawet najlepiej rządzonem państwie takie nieprzewidziane, „natychmiastowe“ konieczności mogą dać się czasem we znaki. Ale nie jest dobrze, gdy argument o „natychmiastowej konieczności“ zbyt często usprawiedliwia zarządzenia w gospodarce państwowej, gdy staje się argumentem pospolitym. Wiemy, jak taka argumentacja wygląda w praktyce. Przez parę miesięcy wszystko idzie dobrze. Zgodny chór pochwał dla rządu na łamach prasy sanacyjnej. Powinszowania dla Polski, że takich sterników ma u rudla nawy państwowej. „Poczucie odpowiedzialności“ nie pozwala myśleć o oddaniu rządów żadnej innej grupie. Nagle przychodzi „natychmiastowa konieczność“ i zmusza do postępowania wbrew wszystkim obliczeniom, powinszowaniom i pochwałom. Następuje błyskawiczna obniżka pensyj urzędniczych, lub coś analogicznego. Potem znów wysławia się mądrość i orjentację sterników nawy. I tak dalej w tym rytmie. Dowodzi to, groteskowo, a wymownie, że mało zaiste jest w sferach decydujących zdolności przewidywania, że nie zdały — państwowego egzaminu. To, co ma usprawiedliwiać, staje się wtedy oskarżeniem. To nie żadna sztuka uginać się przed „natychmiastową koniecznością“, to potrafi każdy. Oryginalne to nad wyraz, że w sztuce tej celować ma—„rząd silny“. Jakiż jest sens *régime*'u „silnej władzy“, a przedewszystkiem jaki cel ofiar, ponoszonych z kapitału kultury moralnej społeczeństwa na rzecz utrzymania przy władzy obecnych jej dzierżycieli, jeśli prawdziwą zwierzchniczką od dłuższego czasu zamianowana została „natychmiastowa konieczność“?

CZEMUŻ TAK NAD WYRAZ ŚLAMAZARNIE WLEKĄ SIĘ PRACE NAD „NAPRAWĄ“ KONSTYTUCJI? Czemuż tak w modę weszły wybiegi prawne i nieobliczalna interpretacja przepisów zawadzającej konstytucji państwowej? Czy ta powolność, te ćwierć-środki, to tylko jeden znamienny szczegół w ogólnem „usprawnieniu“ machiny państwowej? Wzrok mimowoli z zajęciem zwraca się do sprawozdań z obrad grupy konstytucyjnej BBWR. Posiedzenia ostatnie odbyły się (jak donosi „Gazeta Polska“ z niedzieli 22 maja) w dniach 19 i 20 b. m. Cóż było? P. wicemarszałek Makowski wygłosił referat. W dyskusji zabierali głos pp. prezes Sławek, wicemarszałek Car i Polakiewicz, oraz posłowie Paschalski, Podoski i Czuma. Razem siedmiu statystów. W gronie tem „rozważano wszechstronnie“, „podnoszono zgodnie“, „uznano jednomyślnie“, „jednomyślnie wypowiedziano się“. Raz czy dwa powstała nawet „różnica zdań“, podział na „większość“ i „mniejszość“. Nie wiemy, czy nowe przepisy, proponowane w tem gronie, spotkały się na miejscu z rozwijającą interpretacją p. Cara, który przecież brał udział w dyskusji. Możemy brać pod uwagę tylko oderwany od życiowej praktyki sens projektów, streszczonych petitem w „Gazecie“. Otóż odczuwano ogólnie, że rząd jest za słaby, i że trzeba go wzmocnić. Wypowiedziano się więc np. za „pewnem ograniczeniem inicjatywy poselskiej w sprawach konieczności państwowych, t. j. budżetu i poboru rekruta“. Jednocześnie uwzględniono częste wyłanianie się „konieczności natychmiastowych“ i pomyślano o specjalnej technice szybkiego uginania się przed niemi. To jednomyślnie. „Jednomyślnie“ — opiewa petit — „wypowiedziano się za koniecznością... utrzymania instytucji dekretów z mocą ustawy, których uchylenie mogłoby być dokonywane w drodze ustawodawczej“. Powyższa instytucja dekretów, równających się ustawom, uzasadnienie znaleźć może jedynie w szybkości, z jaką bywają wydawane w celu dopędzenia „natychmiastowych konieczności“, w rodzaju np. obniżki płac urzędniczych. Po tej linji szły twórcze zamierzenia — a w gruncie rzeczy dziwno, że nie były jeszcze bardziej twórcze. Pole do pracy konstytucyjnej jest, pod względem moralnym, cudownie przygotowane. Do wszelkiej twórczości, do wszelkiej nawet dowolności — panowie rozmawiający w grupie konstytucyjnej BBWR otrzymali mandat od „kraju“ — od tych wyborców na Spiszu i Orawie, co poszli głosować z muzyką, a czynność wszyscy bez wyjątku ukończyli przed 11 rano... I w rezultacie, przy całej powolności roboty konstytucyjnej, panowie, cyzelujący szczegóły przyszłego ustroju — jednomyślnie zgadzają się, wypowiadają, podnoszą... Rozmowa tchnie nieznaną demokracjom powagą...

NAUKA I LITERATURA

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO i ARTYSTYCZNEGO

W dn. 23 maja odbył się w Warszawie uroczysty wieczór jubileuszowy na cześć Józefa Weyssenhoffa.

Uroczystość, urządzona w teatrze Wielkim, zgromadziła doborową publiczność polską, która jubilatowi zgotowała gorącą owację. Po przemówieniach, wygłoszonych w imieniu zrzeszeń literackich przez pp. Ossendowskiego i Sieroszewskiego, nastąpił szereg produkcyj chóralnych (Harfa) i deklamacyjnych (artyści Frenkel i Śliwicki). Świetny wykład o twórczości Weyssenhoffa wygłosił Stan. Miłaszewski. Na zakończenie artyści odegrali ułożony na pięć odsłon poemat

dramatyczny, zręcznie przerobiony z „Sobola i panny" przez J. Hertza.

Obecny minister oświecenia udekorował jubilata złotym krzyżem zasługi.

Parę dni przedtem w ambasadzie francuskiej ambasador Laroche wręczył Weyssenhoffowi krzyż oficerski Legji honorowej.

*

We Lwowie odbyła się w uniwersytecie uroczystość uczczenia 50-lecia pracy naukowej profesora romanistyki Edwarda Porębowicza. Jednocześnie odbył się tego dnia zjazd romanistów polskich.

*

We Lwowie również w Zielone Święta odbył się zjazd botaników polskich, połączony z wystawą starych druków botanicznych. Minęło właśnie 400 lat od ukazania się pierwszej polskiej książki botanicznej. Prof. Hryniewiecki poświęcił tej książce wykład.

*

Związek literatów w Krakowie przyznał nagrodę literacką Aleks. Gałuszce za dwa ostatnie tomy jego poezyj. Do komitetu nagrody wchodzili: Rostworowski, Pigoń, Sinko, Płomieński, Bar. Współzawodnikiem o nagrodę był Zyg. Nowakowski.

*

Teatr lwowski wystawił sztukę rosyjskiego komunisty Tretiakowa „Krzyczcie Chiny". Galerję zajęli komuniści, oklaskujący sztukę. Wynikł skandal. Któż to zrobił? Na czele teatru stoi p. Horzyca, który sobie dobrał osławionego Schillera jako reżysera. Przeprowadzili oni z pomocą radnego Mejbauma, redaktora sanacyjnego „Słowa Polskiego", a pod osłoną mianowanego prezydentem miasta Drojanowskiego, poza plecami komisji teatralnej, wystawienie tej sztuki. Wynikła na Radzie miejskiej burza. Obrońcy bolszewizmu: Mejbaum, Chajes i socjalista udaremnili decyzję. Województwo wreszcie „pod naciskiem opinji" kazało zdjąć sztukę ze sceny. Bardzo interesujący jest obecnie stosunek „sanacji" do komunizmu.

*

W dniach 3, 4 i 5 czerwca b. r. odbędą się na ziemiach polskich uroczystości ku uczczeniu Stanisława Moniuszki w 60-tą rocznicę zgonu. Rada Naczelna zjednoczonego śpiewactwa wezwała zrzeszenia śpiewacze i muzyczne do urządzenia we wszystkich ośrodkach uroczystych obchodów.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Nakładem Tow. Wyd. „Patria" ukazała się książka Jędrzeja Giertycha p. t. „O program polityki kresowej" (cena zł. 4, gr. 50), praca niezwykle cenna, jako że po raz pierwszy dająca poważnie pomyślaną próbę konkretnego, praktycznego rozwiązania kwestji ruskiej i białoruskiej na naszych ziemiach wschodnich z punktu widzenia ogólno-polskich interesów narodowo-państwowych.

Zanim książkę tę, która powinna wzbudzić jaknajżywsze zainteresowanie, omówimy obszerniej, przytaczamy kilka zdań z przedmowy, jaką opatrzył ją przewodniczący wydziału wykonawczego Obozu Wielkiej Polski, b. wojewoda wołyński Aleksander Dębski:

„Jako ten, który zna i pracował na tych ziemiach, mogę stwierdzić, jak sumiennych i rzetelnych studjów książka ta jest wynikiem i jak trafnie i życiowo szereg trudnych zagadnień ujmuje i rozwiązuje. Praca niniejsza nie jest ostatecznem sformułowaniem programu w sprawach, które omawia, nie jest wszakże również wyrazem indywidualnym autora. Wyrosła z założeń ideologji narodowej i jest przejawem poglądów, jakie nurtują w młodem pokoleniu... Po raz pierwszy przynosi spojrzenie na zagadnienie Ziem Wschodnich młodych, wychowanych we własnem państwie, myślących nie o zagrożonej polskości tych ziem, ale o ich pełnem, duchowem zespoleniu z całością Polski".

*

Setna rocznica śmierci Goethego odbiła się i u nas echem szerokiem. Jeżeli znalazł się już jaki bibljograf tej rocznicy, napewno będzie miał plon znaczny. Najobszerniejszym działem będą niewątpliwie artykuły rozsiane po pismach. Z nich na uwagę zasługuje dłuższe przemówienie uniwersyteckie prof. R. Dyboskiego „W stulecie śmierci Goethego", wydane w osobnej odbitce z „Przeglądu współczesnego". Uczony krakowski (który od germanistyki za czasów Creizenacha zaczął swe studja, nim się przerzucił ku anglistyce) przedstawił w krótkim rysie koleje stosunku pokoleń do arcymistrza poezji niemieckiej, zaznaczając, że ci, którzy widzieli w nim tylko poetę, liryka czy epika, czy uczonego, czy polityka, nie dostrzegli przeważnie rzeczy najważniejszej: człowieka („człowieka zabyli" — jak prof. D. powtarza za Czechowem). Tą właśnie ludzką postacią Goethego zajął się Dyboski, uwydatniając w niej głównie moment walki o doskonałość i harmonijne szczęście. Ludzkiemi sprawami Goethego zajął się i F. Hoesick, poświęcając całą grubą książkę (wyd. Trzaska-Evert i Michalski) dziejom jednej tylko miłości poety, a mianowicie stosunkowi jego z Marjanną Willemerową, która była natchnieniem a często współpracowniczką wielkiego zbioru lirycznego p. t. *„West-Ostlicher Divan"*. Liryki te napróżno dotąd czekają na polskiego tłumacza, dlatego to H. zmuszony był cytować je w oryginale. Inne utwory Goethego większe mają szczęście do tłumaczy. Oto „Faust" ukazał się w nowem tłumaczeniu dokonanem przez prof. Reissa („Bibljoteka Filomaty" Lwów). Przekład ten ma miejsca piękne, ale trafiają się i poetyckie usterki, spowodowane nadmierną dbałością o ścisłość. Wiernością przewyższył ten przekład wszystkie inne, z wyjątkiem może Jenikego. Piękna jest szata zewnętrzna, obfitość i dobór ilustracyj wręcz imponujące (Rembrandt, Lalause, Delacroix, Cornelius i t. d.). Przed przekładem idą trzy przedmowy: A. Sandel kreśli zwięzłą biografję Goethego, A. Lewicki opowiada o dziejach tekstu „Fausta", prof. Ganszyniec zaś zajmuje się stosunkiem historji do legendy w wątku Faustowskim. W zapowiedzianej II części „Fausta" znajdzie się jako przedmowa obszerne studjum germanisty prof. Rolauera o polskich przekładach „Fausta". W tejże „Bibljotece Filomaty" ukazał się przekład mało znanego fragmentu epickiego, noszącego tytuł „Achilleis". Utwór ten, którym Goethe chciał rywalizować z „Iljadą" Homera, przełożył nienagannie Poznańczyk, Arnold Spaet, który już przed paroma laty zdobył sobie dobre imię jako tłumacz „Pocałunków" Jana Secundusa. (J. B.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

DUŻĄ salę w Zachęcie zajęła XX-ta wystawa Cechu artystów plastyków „Jednoróg". „Jednoróg" lubi zdaje się rozmaite manifesty artystyczne: katalog obecnej wstawy został również opatrzony wstępem. Taka przedmowa zawiera zwykle „wyznanie wiary" zrzeszonych, lub mówi o zadaniach stawianych sobie przez artystów, a już do widza i krytyka należy sąd o tem, czy realizacja tych zadań wypadła pomyślnie. Zwykłą koleją rzeczy członkowie „Jednorogu" wykonywają pierwszą z omówionych czynności (malując); natomiast jakże orginalnem wydaje się połączenie z nią i drugiej t. j. propagowania chwalby własnych dzieł. Mianowicie jeden z ustępów przedmowy brzmi: „Bo też każdy z członków tego zrzeszenia to samoistny talent o wysoce indywidualnym wyrazie artystycznym, wnoszący do współczesnej sztuki polskiej pełne wartości malarskie". Istotnie z powyższego widać, iż członkowie „Jednorogu" posiadają bezwątpienia talent, talent reklamiarski. Gdyby słowa dla nich wygłoszone pokrywały się chociaż z istotnym stanem rzeczy, woń kadzidła spalonego na własną cześć nie wydawałaby się nam jeszcze tak przykra. Ponieważ jednak naprawdę sprawa przedstawia się odwrotnie, trudno odmówić „Jednorogowi" tupetu. Jego członkowie bardzo powierzchownie korzystają z dorobku współczesnego malarskiego Zachodu, przejęci pozorami podchwytują cudze zwroty i chwyty, nie sięgając do istoty rzeczy, co jest zresztą u nas zjawiskiem dosyć częstem. Robią to, trzeba im przyznać, w sposób umiarkowany. Wogóle cechuje ich duże umiarkowanie i powściągliwość wysiłku. Ciągle te martwe-naturki, pejzażyki, zrzadka jakieś studjum gło-

wy — to już się wszystkim setnie znudziło. Wiem, wiem, cobyście panowie mi na to odpowiedzieli razem z „kapistami“ i t. d., zgodnie wyuczonym chórem: „Nie chodzi o temat, najpoważniejsze zadanie artystyczne można przeprowadzić, malując butelkę i cytrynę“. Zdumiewające jest, jak długo potrafiono mistyfikować ludzi tem powiedzeniem. Taki jeden z drugim gdy to usłyszał, kładł uszy po sobie i odchodził zawstydzony, żeby jeszcze nie usłyszeć dodatku o „literaturze“. Czy jakiś literat próbowałby w nas wmawiać, że niepotrzebne są dobrze skomponowane powieści, zwarte konstrukcyjne dramaty, bo przecież zadanie artystyczne (literackie) można przeprowadzić i w malutkiem wierszyku? Gdy tak się dzieje w literaturze, ludzie biją na alarm. Poco więc te okłamywania, w podobnym wypadku, w plastyce? Pracować się rozmaitym bubkom nie chce, nic nie umieją, więc dalejże z naiwną teoryjką, wspomagani przez nieśmiertelny snobizm! Na „rozwiązywanie problemów kolorystycznych, czy formalnych“ (słowa przedmowy), na ćwiczenia ma się pracownie, a na wystawę trzeba przysyłać utwory, w których artysta potrafił nabyte doświadczenie wyzyskać bo ta jest nietylko dla kolegów-fachowców, lecz przedewszystkiem dla publiczności.

Powracając do „Jednorogu“, stwierdzamy, że środki malarskie zgrupowanych w nim artystów bynajmniej nie są imponujące, a w dziedzinie władania pendzlem, jak u Lama np. pozostają w granicach zamęczonego analfabetyzmu. Na tem tle wyróżnia się paru malarzy: Fedkowicz, Hryukowski („owoce na stole“) i niewiadomo poco wmieszany w taką socjetę, utalentowany malarz Adam Malicki. Pracą na poważniejszą skalę jest także „Handlarka“ E. Elstera z Poznania.

*

P. Ołeksa Nowakowski, rusin, jest artystą posiadającym już spory dorobek, rozmieszczony obecnie w dwu salach Zachęty, na jego wystawie zbiorowej. Artysta kształcił się w Akademji Krakowskiej, mniejwięcej w tym samym czasie co i Skoczylas, należy więc do pokolenia, które wychowało się w epoce promieniowania sztuki Stanisławskiego. Małe pejzażyki, studja i notatki Nowakowskiego, w tym właśnie okresie czasu powstałe, można zaliczyć do najlepszych. Prace późniejsze cechuje nieznośna manjera w ujmowaniu kształtu i kładzeniu plam, a właściwie w tym wypadku, pasem barwnych. Niedostatecznie opanowany rysunek pogłębia jeszcze to przykre wrażenie. Piszemy o tem nie bez żalu, widząc jak sztukę niewątpliwie uzdolnionego artysty zniszczyła jakaś urojona teorja artystyczna z pod ciemnej gwiazdy. Z pod jej wpływu uwalnia się Nowakowski do pewnego stopnia w niektórych pejzażach np. w tryptyku „Św. Jur“.

*

Ostatni katalog Zachęty, poza zwykłym spisem prac i reprodukcjami, zawiera wiadomość o walnem zgromadzeniu Towarzystwa. Zabawnie brzmi zdanie: „po złożeniu sprawozdania rozwinęła się dyskusja nad działalnością Towarzystwa“. Co tu gadać, rozwinęła się, rozwinęła się na wzór popularnego w wojsku powiedzonka: milcz jak do mnie mówisz. Pozatem niewątpliwą atrakcją katalogu są przeróżne, zamieszczone w nim artylkuliki. Nie będziemy wygłaszali o nich sądu, wystarczy przytoczyć kilka urywków. O Nowakowskim: „Twórca w rozmachu stepowca, nigdy niepowtórzony, konstruuje bogato inkrustowane kompozycje, rzucając na nie postacie dobrocią ogromną spełnione“... Dalej okazuje się się, że „rozkochany i niepowtórzony twórca“ nie takie jeszcze rzeczy potrafi. Np. jako „rozśpiewany fantasta tworzy miłośnie ciało dziewczęce słodkie i jędrne“ (przestań pan, ja też jestem człowiek, nie żelazo!) „krew w żyły wlewa ręką pracowitą“. Cóż to za pracowita rączka! A kończy się tak: „naogół o obrazkach Nowakowskiego pisać trudno“.

Autor dytyrambu na cześć St. Jackowskiego, chcąc powiedzieć komplement rzeźbiarzowi, pisze: „Twórczość Jackowskiego stoi poza wszystkiemi problemami artystycznemi“. Jeżeli stoi poza niemi, to poco to wogóle twórczością nazywać? O panu Kraśniku czytamy: „Nie mam przyjemności znać, ani nigdy nie widziałem tej napewno straszliwej postaci, z oczyma w słup, djabolicznej, a może nawet rozczochranej“... Co to znaczy? Wmawia się w publiczność, że zdolny malarz musi zawsze wyglądać jak warjat. A może chodzi o zdyskredytowanie nas w oczach pięknych pań? Litości!...

WIKTOR PODOSKI

ZMARLI

Ś. P. AUGUST CIESZKOWSKI

ZMARŁ w Poznańskiem syn filozofa, noszący również jego imię, August Cieszkowski, właściciel majątków ziemskich, odziedziczonych po ojcu, między innemi Wierzenicy pod Poznaniem, Suchej i Łukówca na Polesiu. Ur. w r. 1861, po ukończeniu gimnazjum w Poznaniu śp. August Cieszkowski odbywał studja uniwersyteckie w Krakowie, Wiedniu i Heidelbergu. Po śmierci ojca, znakomitego autora „Ojcze nasz“, poświęcił się całkowicie pracy około wydania bogatej spuścizny naukowej, pozostającej w rękopisie. To też jemu zawdzięczamy wydanie całości „Ojcze nasz“ z wyjątkiem I tomu, wydanie drukiem „Prolegomena do historjozofji“, dziełka p.t. „Bóg i pallingeneza“, tak samo przetłumaczenie tych ostatnich dzieł na polski, a „Ojcze nasz“ na język francuski. Wypełnił również niedokończone przez ojca wydawnictwa źródeł *„Fontes rerum politicarum“* z archiwów włoskich. Krakowska Akademja Umiejętności zawdzięcza mu funduszu na współpracę w wydawnictwie Ojców Kościoła. Ś. p. August Cieszkowski ofiarował Uniwersytetowi Poznańskiemu majątek Żabikowo, siedlisko niegdyś założonej przez śp. ojca, Szkoły Rolniczej im. Haliny.

LISTY DO REDAKCJI

Z Sydney w Australji otrzymujemy list, świadczący o żywem uczuciu narodowem naszych wychodźców:

Szanowny Panie Redaktorze.

Potwierdzając regularny odbiór tygodnika „Myśl Narodowa“ muszę przyznać, że prawdziwą przyjemność mi sprawiła Pani H. Ż., zaprenumerowując to pismo.

Przeczytawszy już z kolei nr. 8, szczerze oświadczam, że ogromnie żałuję, że dopiero w roku 1932 „Myśl Narodowa“ rąk moich doszła, że nie miałem sposobności i przyjemności zapoznania się z tem pismem w przeciągu lat ubiegłych.

Przykro, że takie poważne pismo, które już 12 lat wysoko niesie sztandar „Myśli Narodowej“ w kraju, nie jest dobrze znanem i rozpowszechnionem na wychodźtwie, że Polacy w dalekich krajach zamorskich nie mają sposobności korzystać z prawdziwych źródeł „Myśli Narodowej“ i czerpać wszystko to, co jest istotnie potrzebnem do służenia Krajowi na Obczyźnie.

Z głębi serca życzę Szanownemu Panu Redaktorowi powodzenia w jego ciężkiej i mozolnej pracy i wierzę mocno, że żadna siła nie wytrąci Mu z ręki przepięknego sztandaru „Myśli Narodowej“.

Przy tej sposobności miło mi donieść, że dziś poleciłem memu Bankowi, *National Bank of Australia* przesłać prenumeratę za cały rok z góry i pewny jestem, że i nadal otrzymywać będę tygodnik regularnie.

Z szacunkiem i poważaniem

M. ZDANOWICZ

OFENSYWA

POETA I POWSINOGI

POETA Zegadłowicz Emiljasz zamieszkał znów w swoim Gorzeniu Górnym. Z powrotem, po latach, po stratach, po trudzie, po grudzie wrócił pod ojcowską strzechę, do swojego skromnego dworzyska *(cottage)*, tonącego w odmętach gęstej, splątanej, dżunglowej zieleni. Znów go stare mury oddzielą od zgiełkliwego jarmarku świata. Znów pątnik Srebrem pisany ale i z przedwcześnie osrebrzonym włosem długim zostanie sam wśród ludzi, z rodziną, z ślicznemi córeczkami, z żoną, która z niepokojem będzie wpatrywała się w jego poorane oblicze, w zabruździone czoło, w smutne, dziecięce oczy. Z boleśnie pokaleczonemi skrzydłami wraca ptaszysko niebieskie na swoje gniazdo. Pewnie ma oddech gorączkowy i dużo cierpkiej goryczy w ustach, i żal, żal niewypowiedziany w słowach do świata, do ludzi, i ból rozczarowań, i smutek, który go już nie odstąpi, nie opuści.

Zegadłowicz w swoje zacisze beskidzkie wycofać się już absolutnie i nieodwołalnie musiał, został zmuszony. Zaszedł gdzieś w jakąś ciasną, ciemną ulicę, niespodziewanie stromą ścianą się zamykającą. Zaplątał się w jakieś pasożytne, rozrosłe ljany. Pokrwawił i pobrudził sobie i nogi i ręce. Wdał się w jakieś spekulacje, kombinacje, lirykowi i lirnikowi zgoła nieprzystojne i niebezpieczne.

Trudno jest żyć nie przyzwyczajonemu na świecie. Kusili go ze wszystkich stron łatwemi stanowiskami i grubszemi tantjemami. Zaczęło mu pachnąć i srebro i złoto i synekurniki ułatwiające, umożliwiające wzmożoną, spotęgowaną, do omal patologicznej hyperprodukcji doprowadzoną twórczość pisarską. Podniecony, podrażniony duserami, superlatywami i hołdami na zdobytym przez krakowiaków wielkopolskim terenie zaczął się rzucać gorączkowo na wszystkie boki i strony tak, jako kobiety w Monte Carlo: byle wygrać! byle jeszcze wygrać, byle zgarniać, byle przed sobą sterty talmimammony zebrać. Wnet może przyjść passa, a tu trzeba prędko dach dziurawy w Gorzeniu naprawiać, nowy płot stawiać, tam jakąś lukę załatać w podatkach, może nawet nawozu trochę zakupić, ogrodnika na jakiś czas wynająć... Jakby demon gry, tak poetę, urodzonego poetę demon posad opanował. Nie na „dziefczynki", nie na szampana, nie na brydża i pokera, nie na „szałówki", ale na Gorzeń, na ten śliczny Gorzeń szło wszystko. I nie za durno i darmo zgarniał forsę synekurniczą. Pisał za to i pisał całe dnie, całe noce, całe libry papieru zapisywał coraz prędzej, coraz łatwiej, że ledwie mogły maszyny drukarskie nastarczyć tej coraz mniej radosnej, a coraz rozlewniejszej, mętniejszej, coraz mniej esencjonalnej twórczości. Dzisiaj trudno sobie przypomnieć nawet tytuły tych zbyt jałowcowych, zbyt rosistych, zbyt pastuszych i zbyt zgrzebnych tomów i tomików. Nadspodziewany dobrobyt wywołał rozrost raptowny niszczącego bakcyla grafomaństwa. Nad chorążym, orędownikiem i kaznodzieją regjonalizmu zaczęła się mścić opuszczona, zdradzona przepiękna ziemia Beskidzka. Choć jej wierny uczuciowo, myślowo, tekstowo, tematycznie, jednak, bądź co bądź, wykorzeniony *(deraciné)* oderwany, odciągnięty i ze solidnym, czystym ale twardym brukiem miejskim coraz więcej się oswajający, zaczął pisać sztucznie, wymuszenie, afektowanie, nieszczerze, „dęto". No i zabłądził, zabłąkał się, zagubił i czasowo zamienił na dostawcę tomów *en gros* (przy dobrej konjunkturze), aż i został takim sobie literatem *en vogue*, adoptowaną przez Poznań, ceremonjowaną, każolowaną przez Poznańczyków lokalną znakomitością.

Że zasię ludzko, towarzysko i koleżeńsko obcował tam omal tylko z Kolonją małopolską w Poznaniu, ze „zwycięzcami" i.. „najeźdzcami", z kliką krakauerskich kulturträgerów, więc kiedy posady i dostojeństwa zaczęły się likwidować i z rąk mu wymykać, Zegadłowicz się załamał. Podżegany przez juntę kawiarnianą, przez belferską „jelitę", przez „mocarną" grupę „Zrębu"... ni stąd ni zowąd nadspodzewanie autor „Kolendziołek", „Kantyczek", „Godzinek", „Rezurrekcji", autor „Świąt Zielonych" i „Przyjdź Królestwo Twoje" rzucił się niezgrabnie, szpetnie, całkiem przypadkowo i znów nieszczerze na... „Klechistan" czyli na „Klerykalizm" polskiej Wandei, polskich Basków. *Verum gandium* sprawił półinteligenckiej czeredzie tych naniesionych tam i zamieszkałych „dr." i „prof.", tych docencików, lektorzyn, polonistów, propedentyków, pedademagogów, inspektosiów, kurakin-torów, tych kujonów i prymusów, nie cierpiących o obiście Pana Boga, duszą i ciałem (niedokąpanem) oddanych Komendantowi i tej całej *Ausschussware* galicyjskiej. *Verum gaudium.* Jeden „zew" radości wydarł się z gardzieli odchodowych całego „Zrębu" na ten nieapetyczny aspekt. Weterynarz od ludzkich przypadłości prof. Różycki telefonował pierwszy wieść radosną przeorowi masonów Bernardowi z Chrzanowa... Ale sam biedny Zegadłowicz przez swój chwilowy trjumf i danie takiej sensacyjnej emocji Galicjanuszkom musiał... emigrować, musiał się autodeportować, musiał wracać...

Poeta ustąpił placu zngkany i zaszczuty. I już nie będzie tam rzucał *margeritas ante porcas.* Wysoko go podnieśli na tarczę a potem, gdy się „skompromitował", zrzucili na drodze bez żadnej ceremonji. *Mentalita pocracoviana*: tak zwane Staudyngiery, Zechentery, „Prezes Promethidionu Kapuściński", autor monumentalnej monografji o Wysockiej doktór Cwancygier, redaktor „Żywego Dziennika", dwóch dermatologów, jeden rzeczoznawca „Wesela", „człowiek, który znał osobiście Feldmana", dalej ekspert w dziejach „Zielonego Balonika", historyk P. O. W., jeden Znamierowski, jeden Latawiec, ale za to inni już osiadli, wkorzenieni, podlizujący się i padamdonóżkujący Hupścikom, a w czterech ścianach, gdy sami — *galizianer-witze* o Hupścikach.

Między temi mocarnemi belframi, estradowemi wygłupiaczami jedna sztuka anormalnie wredna i *in summo gradu* nabał. Na milę go czuć Michalikiem, Kleparzem, złą kolońską wodą i Batabutami. Nie wart rozwiązać rzemyka u podartego trzewika poety Zegadłowicza ten tandetny, podwórzowy „esteta".

Że atoli często gęsto taki typ przy lada okazji ochotnie w chórze „hymn krakaueronów" zawyje, że mu się w czkawce każdej kultem stale odbija, a raz po raz i ekstazą oratorską żygnie, więc go przeor Masonów, Bernard z Chrzanowa na złość w endeckiej szkole trzyma i czarnemi skrzydłami proteguje i chroni. A że mu zasię znów parszywie niecne ujadania na „przyjaciela" Zegadłowicza Żydowiny szybko publikują, to już znowuż znak widoczny, *signum*, że Zegadłowicz katolikiem jako był, tak został, a do Boy-ówkarzy Reformacji seksualnej nie przypisał się i nie przypisze.

Dał teatrowi poezję „Lampki Oliwnej", „Głazu granicznego", „Alcesty", „Betsaby".

Oby dotknąwszy bosą nogą Beskidzkiej ziemi, zapomniał o śmietniku w Poznań wsypanym i dał nam znów... Ballady jakich mało...

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Znane z dzienników zdarzenie w politechnice lwowskiej, polegające na obrzuceniu prof. Bartla jajami, wywołało tu i owdzie reakcję w postaci komentarzy. W prasie liberalnej urzędownie wyrażono oburzenie na młodzież. Sanacyjne zaś „Słowo" w Wilnie dodało do wiadomości taki komentarz:

„Ale ponieważ w końcu końców stała się rzecz karygodna, lecz nie tragiczna, więc pozwólmy sobie na uwagę, że prof. Bartel istotnie stanowi „*clou*" obecnego sezonu. Jeździ na konferencje, aż całej opozycji cieknie ślinka, portretowany jest w „Cyruliku" w cylindrze, meloniku, fraku, żakiecie, marynarce, nago, wreszcie walą w niego jajami. Bodaj to taka popularność!"

Najosobliwiej zareagował sam prof. Bartel, oświadczając, po przebraniu się, z katedry (według telegramu):

„że uznaje tylko otwarte stawianie sprawy i przed niczem nigdy się nie ulęknie. Szczęśliwym dla napastników trafem nie miał wówczas broni, którą odtąd stale będzie ze sobą nosić i na każdą taką napaść zareaguje tak, jak reagować powinien każdy oficer"...

Prof. Bartel zatem poruszył sprawę uboczną (i to w czasach, gdy tyle się mówi o rozbrojeniu), wypadek bowiem spotkał p r o f e s o r a, nie oficera.

*

Opowiemy konserwatystom z klubu B. B. zabawną przypowiastkę rumuńską:

Możny chłop wiódł wołu na jarmark. Stowarzyszył się z nim biedny chłop i schlebiał. Zaszła im drogę ropucha. Bogaty go buja:

— Dam ci wołu, jeśli zjesz tę ropuchę.

Chciwiec się zgodził, krztusił się, ale jadł. Bogacz już się zląkł, że mu wół przepadnie. Aliści tamten:

— Nie podołę! Zjedz resztę, to ci oddam połowę wołu, którąm zarobił.

Bogacz z radością ropuchę dokończył — i była kwita.

Ale idąc dalej, zaczęli się zastanawiać:

— No pięknie jest, ale powiedzcie, bracie, pocośmy to paskudztwo zjedli, skoro wszystko zostało, jak było?

Nasuwają się już takie refleksje — nieprawda?

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9**, półrocznie zł. **17**, rocznie zł. **32**, zagranicą kwart. zł. **12**, półroczn. zł. **24**, rocznie zł. **45**.
Konto czekowe na P. K. O. **3.105**.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.